WTOREK Nr 151 20 XII 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Prezenty za około 100 000 zł

dla pacjentów Centrum Zdrowia Dziecka

HARCERSKIE MIKOŁAJKI

(Inf. wł.). Kilkanaście worków mikołajkowych upominków zawieźli harcerze do Centrum Zdrowia Dziecka. Były to układanki, klocki, przybory do majsterkowania i haftowania, gry, książki i inne jeszcze różności, które na pewno umilą pacjentom CZD czas pobytu w szpitalu. Na pomysł ten wpadli warszawscy harcerze z Hufca Praga – Południe, przeznaczając na zakup prezentów całą nagrodę za najlepiej zorganizowaną w tym roku akcję letnią – 75 000 zł! Do mikołajkowej akcji przyłączyła się także Centralna Składnica Harcerska, która zafundowała dzieciom upominki wartości 15 000 zł i Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, która dołożyła do pokaźnego mikołajkowego worka wiele ciekawych książek. **(jz)**

TU LATAJĄCY HOLENDER I KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

Zapraszamy wszystkich miłośników morza dziś o godzinie 16.00 przed srebrne ekrany.

Audycja poświęcona będzie wielkim żeglarzom z dużych statków żaglowych, jak i z małych jachtów. Poznacie więc sylwetki tych, którzy przemierzali niegdyś szlaki ze zbożem i saletrą a także dowódców współczesnych wielkich żaglowców.

Zaprezentujemy również wielkich żeglarzy z małych jednostek, którzy wygrywali wielkie regaty, opływali kulę ziemską we wszystkich możliwych kierunkach, dokonywali wręcz niemożliwych rzeczy, stawiając czoła „ryczącym czterdziestkom" a przede wszystkim pokonywali własną słabość w walce z żywiołem.

W programie znajdą się również sprawy klubowe. **(wm)**

UWAGA Czytelnicy i członkowie Ligi Reporterów! Walizkowa maszyna do pisania, aparaty fotograficzne, zegarki oraz inne atrakcyjne nagrody w KONKURSIE ogłoszonym przez Szefa Ligi Reporterów! Szczegóły już wkrótce! Hasło wywoławcze konkursu: TO BYŁO TAK.

600 m³ rocznie dla naszych mieszkań

Kolorowe płyty marmurowe z odpadów

KIELCE (PAP). W Zakładach Kamienia Budowlanego w Pińczowie uruchomiono wydział produkcji bloków marmurowych z odpadów różnych gatunków marmurów. Bloki powstają przez łączenie marmuru w różnych kolorach specjalnym spoiwem. Produkuje się z nich różnokolorowe płytki posadzkowe dla budownictwa. **(kl)**

Oswajanie mikrokomputera...

... miało miejsce w warszawskim Muzeum Techniki. Nie jednego zresztą, ale wielu. Do kontaktu z tymi urządzeniami najbardziej rwali się młodzi i najmłodsi. Szczegóły na str. 5

Fot. **M. Szymański**

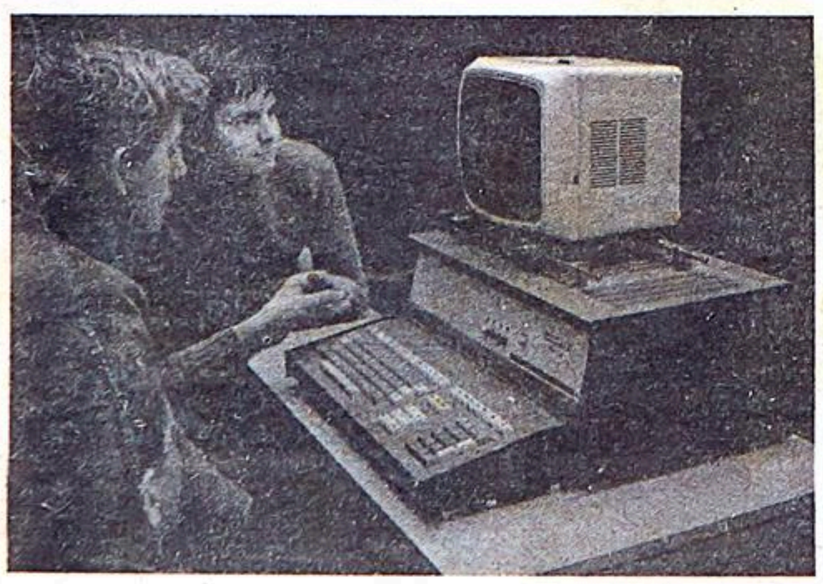

NAJSZYBSZA GRA NA ŚWIECIE

PATRZ STR. 4

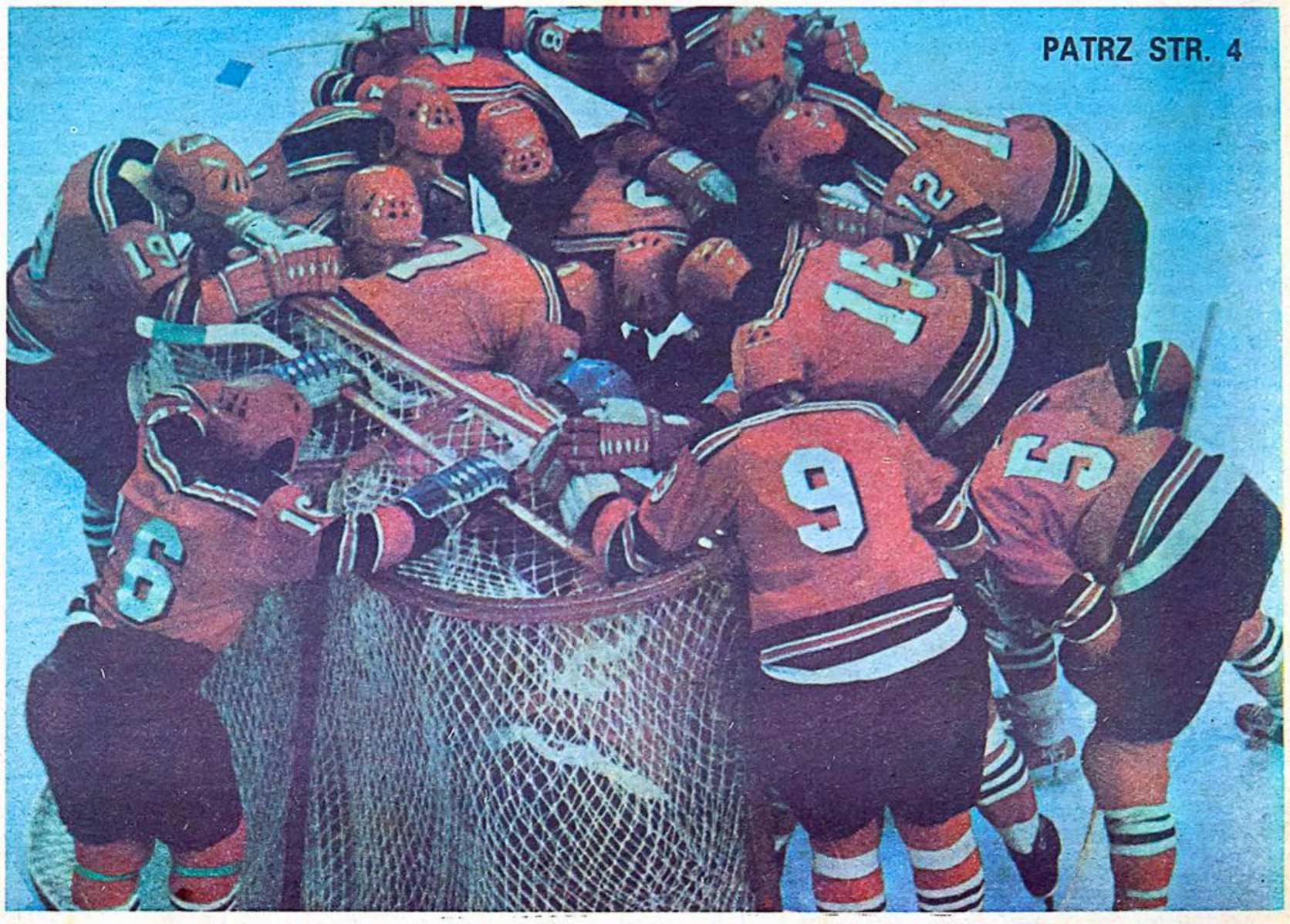

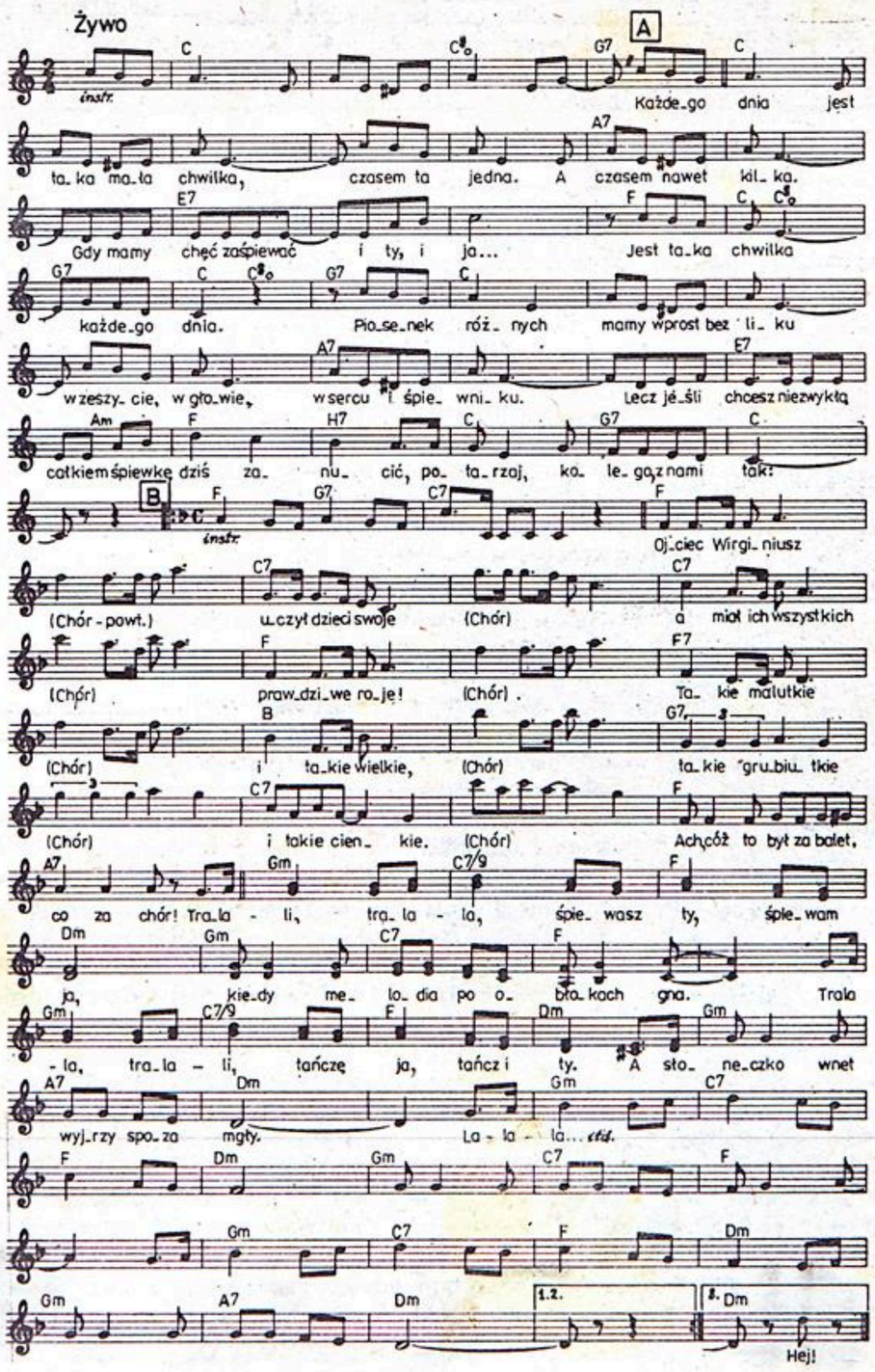

SZUKAMY HARCERSKIEGO PRZEBOJU

ŚPIEWNIK

„ŚWIATA MŁODYCH" I MAGAZYNU HARCERZY „KRĄG"

Piosenka z repertuaru Harcerskiego Zespołu Tańca i Piosenki „Słoneczna Gromada" z Barlinka – dziś u nas, jutro w telewizji.

Słowa i muzyka: TADEUSZ KLIMOWSKI

POROZMAWIAJMY O WIRGINIUSZU albo ACH, TEN WIRGINIUSZ

Każdego dnia jest taka mała chwilka
Czasem ta jedna,
A czasem nawet kilka.
Gdy mamy chęć zaśpiewać
I ty, i ja...
Jest taka chwilka każdego dnia.

Piosenek różnych mamy wprost bez liku
W zeszycie, w głowie, w sercu i w śpiewniku,
Lecz jeśli chcesz niezwykłą całkiem śpiewkę
Dziś zanucić,
Powtarzaj, kolego, z nami tak:

Ojciec Wirginiusz
Uczył dzieci swoje.
A miał ich wszystkich
Prawdziwe roje!
Takie malutkie
I takie wielkie,
Takie grubiutkie
I takie cienkie

Ach, cóż to był za balet,
Co za chór!

Trala – li, trala – la
Śpiewasz ty,
Śpiewam ja,
Kiedy melodia po obłokach gna.
Trala – la, trala – li
Tańczę ja,
Tańcz i ty.
A słoneczko wnet wyjrzy spoza mgły.
La – la – la...

Ojciec Wirginiusz
Kochał swoje dziatki,
Kupił im wszystkim
Bluzeczki w kwiatki,
Spodenki w kratkę,
W paseczki czapki,
Koszulki – w kulki
I klapki w ciapki.
Ach, cóż to był za balet,
Co za chór!
Trala – li, trala – la...

To jest piosenka
Na niepogodę,
Na chmurny piątek,
Deszczową środę.
Dla wszystkich dzieci
Od Wirginiusza,
Bo ten Wirginiusz,
To złota dusza.

Stwórzmy więc wielki balet,
Piękny chór!

Trala – li, trala – la...

PATRZ STR. 3

Obycie ułatwia życie, lub jak sobie radzić

UBIERAMY CHOINKĘ

Trudno sobie wyobrazić święta bez choinki, a choinkę bez kolorowych ozdób. Jak miło jest ubierać świąteczne drzewko: wieszać błyszczące bombki, kolorowe łańcuchy, zapalać migocące lampki. Choinkę można zdobić bardzo różnie, ale zawsze powinna być wesoła, błyszcząca, ma przyciągać wzrok, zachwycać barwami i kształtami wiszących na niej ozdób. Nie powinno zabraknąć na niej własnoręcznie zrobionych zabawek. Dają więcej radości, niż kupione przez rodziców. A ile uciechy może być przy takich zajęciach! Nie wierzycie? A więc spróbujcie!

Do świąt zostało jeszcze kilka wieczorów. Możecie je wykorzystać na przygotowanie choinkowych ozdóbek. Wykonanie wcale nie jest trudne.

Do zrobienia zabawek na choinkę potrzebne są: kolorowy papier, bibuła, kawałki słomki, klej, nożyczki, ołówek, linijka, folia, skorupki (wydmuszki) z jajek itp.

Kiedy już to wszystko zgromadzicie, należy pomyśleć o samych zabawkach: jak mają wyglądać, z czego mogą być zrobione. Musicie więc zabawki zaprojektować. Fantazja na pewno podszepnie Wam wiele ciekawych pomysłów, ale żeby ją pobudzić, podamy niektóre sposoby.

ZABAWKI Z WYDMUSZEK

Czy wszyscy wiedzą jak się robi wydmuszki? Możecie wykorzystać na nie skorupki jajek, z których mama smaży jajecznicę lub piecze ciasto. W skorupce jajka ostrym końcem nożyczek wybijamy dwie dziurki na przeciwległych końcach. Wdmuchując powietrze przez jedną z nich pozbywamy się zawartości jajka. Pusta skorupka świetnie nadaje się do powieszenia na choince. Musimy do niej przymocować nitkę. Zapałkę wsuwamy przez otwór do środka skorupki i wydmuszka gotowa. Teraz trzeba ją ozdobić. A jak? Oto kilka wzorów:

Kolorowe jajko

Na wydmuszce naklejamy różnokolorowe kwiaty, kółeczka, lub inne wzory i doczepiamy do niej pętelkę z nitki. (rys.A)

Dzbanek łowicki

Z kolorowego papieru wycinamy wzory do zdobienia i paski o szerokości 1,5 cm. Nacinamy brzegi pasków i przyklejamy jak na rysunku. Wycinamy także pasek, z którego zrobimy ucho i przyklejamy. Starajcie się stosować jak najwięcej kolorów. (rys.B)

Kaczuszka

Wydmuszkę malujemy na żółto. Przyklejamy skrzydełka z papieru. Główkę z dziobem wycinamy z kartonu, a szyję z cieńszego papieru. Zwijamy ją w rurkę i łączymy z głową, a następnie z tułowiem wkładając do otworu w wydmuszce lub przylepiając do niej. Jeszcze tylko przyklejamy wycięte z kolorowego papieru nogi, oczy i mamy kaczkę jak żywą. (Rys.C)

Żaba

Robimy ją także z wydmuszki, na którą naklejamy oczy. W poprzek grubszego końca skorupki naklejamy pasek papieru. Będzie imitował pyszczek. Jeszcze nogi – przednie przyklejamy z boku, tylne zaginamy wg wzoru. Można ją zawiesić w pozycji pionowej lub poziomej. (Rys. D)

ZABAWKI Z PAPIERU I BIBUŁKI

Kaczuszki i kurki z kartonu

Wycinamy sylwetki kury i kaczki. Przez nacięcie na tułowiu przeciągamy skrzydła i nogi. Skrzydła stanowić będą prostokątne kawałki bibułki złożonej w harmonijkę. Nogi to dłuższy pasek sztywnego papieru lub cieńszego złożonego tak jak skrzydła. (Rys. E)

Jeżyk

Z bibułki należy wyciąć 10 krążków i naciąć je wzdłuż linii. Każdy płatek krążka zwinąć i skleić na okrągłym, ostro zatemperowanym ołówku. Na podwójną nitkę zakończoną koralikiem albo dużym supełkiem nawlekamy 5 gotowych już elementów od strony zwiniętych krążków, a następnie 5 z odwrotnej strony. Pomiędzy nitki wkładamy kawałek zapałki i wiążemy je mocno tak, aby z „ufryzowanych" krążków utworzyła się kolczasta kulka. (Rys. F 1, 2, 3)

Spirala

Z podwójnie sklejonego papieru (kolorowego) wyciąć wzór i przeciąć go wzdłuż linii aż do środka. W punkcie a przewlec nitkę. Ta zabawka powieszona w pobliżu lampki będzie się poruszała ruchem wirowym. (Rys.G)

Gwiazdka z czterech pasków papieru

Do zrobienia gwiazdki potrzebne są cztery paski papieru o długości 60 cm i szerokości 2 cm. Paski zginamy w połowie i łączymy ze sobą (rys. 1). Później zaginamy je zgodnie z ruchem wskazówek zegara (rys. 2). Czwarty pasek przekładamy pod zagiętym pierwszym (rys. 3). Teraz zaczynamy robić rogi gwiazdki. Dolny prawy pasek zaginamy pod spód w prawo (rys. 4). Następnie tworzymy przez ponowne zagięcie szpic (rys. 5). Zaginamy go w stronę lewą i przeplatamy (rys. 6). Robimy w ten sposób rogi ze wszystkich ośmiu pasków (rys. 7). Teraz kolej na zrobienie rogów wypukłych. Zgodnie ze wskazówkami zegara zwijamy paski i przeplatamy (rys. 8). Wystające końce pasków (rys. 9) obcinamy (rys. 10).

Łańcuchy

Kolorową bibułkę tniemy w kwadraty, składamy w harmonijkę i nawlekamy na nitkę – na przemian – słomka i harmonijka. Harmonijki rozkładamy. Inny łańcuch można zrobić z kolorowych podwójnych kółek. Trzeba wyciąć ich dużo i składać jak na rysunku. (Rys. I)

Można też wyciąć sylwetki różnych zwierząt, łączyć je kawałkami słomki przewleczonymi nitką. (Rys. K)

Ozdobami choinkowymi mogą też być orzechy owinięte kawałkami folii aluminiowej – będą pięknie błyszczały. Można je też pomalować kolorową farbą, a potem pociągnąć lakierem do paznokci.

•

Pamiętajcie, żeby zabawki były bardzo dokładnie i czysto wykonane. Tylko wtedy będą zdobiły drzewko. Oczywiście podaliśmy tylko niektóre sposoby. Nie wyczerpują one wszystkich możliwości wykonania zabawek. Wyobraźnia na pewno podpowie Wam inne ciekawe pomysły. A może zapytacie swoich babć i dziadków, jakie zabawki wisiały na choinkach przed laty. Jeśli poprosicie, na pewno Wam pomogą je zrobić i choinka będzie w tym roku tak ładna i strojna jak nigdy dotąd.

JOLANTA TOMALA

REDAKCYJNA POCZTA

Zazdrość i przyjaźń

Chodzę do klasy VII, mam 13 lat, mieszkam w Opolu. Mam wiele koleżanek i kolegów oraz przyjaciółkę – Kaśkę. W październiku 82 roku zaprzyjaźniłam się z dziewczyną z klasy – Esterą. Na samym początku było nam ze sobą bardzo dobrze, ale już w grudniu zerwałam z Esterą, ponieważ ona nie dotrzymywała nigdy słowa, obmawiała mnie i uważała, iż przyjaźń polega na tym, że ktoś komuś daje prezenty. Nie wystarczało jej to, że dawałam jej coś więcej: swą dobroć i prawdziwą przyjaźń dla niej, pomagałam jej w wielu problemach. Ona była dla mnie przyjaciółką tylko wtedy, kiedy dawałam jej jakieś fajne rzeczy z zagranicy. W styczniu zaprzyjaźniłam się z dziewczyną również z klasy – Kaśką i od tamtej pory jesteśmy prawdziwymi przyjaciółkami. Nie obmawiamy siebie, pomagamy sobie wzajemnie na co dzień, dopisuje nam humor i wszędzie ze sobą chodzimy. Wierzę w to mocno, że będzie tak nadal. Lecz Estera zazdrości nam tej przyjaźni. Wielokrotnie próbowała nas skłócić ze sobą, ale na próżno. Kiedyś mi powiedziała, że nie zna lepszej osoby ode mnie i przeprosiła mnie za wszystko. Chce, abym zerwała z Kaśką i przyjaźniła się ponownie z nią. Tłumaczyłam jej tyle razy, że może być moją fajną koleżanką, ale nie taką, jak dawniej ponieważ ja mam już przyjaciółkę i dobrowolnie ani siłą jej nie opuszczę. Ale Estera ze łzami w oczach wciąż mi powtarza: „Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, tylko zgódź się!" Nie wiem co robić!

Joanna

OD REDAKCJI. My również wierzymy w Twoją przyjaźń z Kaśką. Znacie się już przecież rok i nic jej przez ten czas nie zakłóciło (mamy nadzieję, że dalej tak będzie). Może więc obydwie spróbowałybyście zaprzyjaźnić się z Esterą. Ona nie może wymagać od Ciebie zerwania z Kaśką, a powinna wiedzieć, że Twoi przyjaciele mogą być również jej przyjaciółmi. Jeśli Esterze rzeczywiście na Tobie zależy, będzie z pewnością zadowolona z takiej propozycji. Postaraj się porozmawiać z nią i wytłumaczyć jej, że możecie być we trzy dobrymi przyjaciółkami, tylko Estera musi zrozumieć błędy w swoim dawnym postępowaniu. Wszystko ułoży się dobrze, jeśli obie z Kasią będziecie dla Estery bardzo życzliwe.(jt)

Chłopak i bliźniaczki

Mamy po 14 lat i jesteśmy bliźniaczkami, bardzo do siebie podobnymi. Trzeba dodać, że ubieramy się identycznie, mamy tak samo obcięte włosy i wspólne zainteresowania. Pół roku temu jedna z nas – Magda poznała bardzo sympatycznego chłopca. Ma na imię Artur. Jest o 2 lata starszy od nas i uczy się w technikum. Po pewnym czasie Magda zaczęła spotykać się z nim, ale nie darzyła go wtedy żadnym uczuciem prócz zwykłej sympatii. Wtedy postanowiłyśmy zrobić Arturowi żart i zamiast Magdy na spotkanie poszła Monika, tzn. ja. Sądziłyśmy, że Artur pozna się na tej zmianie, ale pomyliłyśmy się. Mimo to nadal chodziłyśmy na spotkania na zmianę. Po pewnym czasie obie byłyśmy zakochane. Artur w końcu odkrył, że jesteśmy dwie. Nasz kłopot polega na tym, że obie mu się podobamy, ale on żadnej z nas nie potrafi wybrać. Każda z nas chce mieć go dla siebie, ale nie chciałybyśmy aby doszło do nieporozumień między nami. Może ktoś z czytelników znajdzie dla nas radę?

Magda z Moniką

Spotkania

PUSTE MIEJSCE

Już tylko cztery dni dzielą nas od tego wieczoru, który dla wielu, wielu z nas ma specjalne, niepowtarzalne znaczenie. Przy wspólnym stole zasiada wtedy cała rodzina, która – choć rozproszona po kraju, a często nawet i po świecie – stara się zdążyć na ten wyglądany przez nas tradycyjnie moment i spotkać się, gdy na niebie pojawi się pierwsza gwiazda. Biel obrusa, zieleń choinki, opłatek, najlepsze życzenia, prezenty, kolędy, których śpiew coraz częściej zastępuje po prostu płyta... Radość tego, że się jest razem. Radość z radości sprawianej innym.

Jak informuje w swej encyklopedii znawca staropolszczyzny Zygmunt Gloger, „wieczerza wigilijna u ludu składała się zwykle z potraw siedmiu, szlachecka z dziewięciu, pańska z jedenastu; kto ilu potraw nie skosztuje, tyle go przyjemności w ciągu roku ominie". Chciałoby się powiedzieć – smacznego! – gdyby nie to, że w czasach, gdy po wiele składników codziennego posiłku trzeba stać z kartką w garści w długiej kolejce i to nie zawsze z pozytywnym skutkiem; gdyby nie to, że dziś zwykłe – smacznego! – może zabrzmieć jak niesmaczny dowcip.

Ale czy tradycyjne dania – góry uszek do barszczu, kluski z makiem lub słodka kutia (zależnie od regionalnych tradycji rodzinnych) czy prezenty poukładane pod choinką, „znalezione" w worku pod drzwiami albo przyniesione przez gwiazdora, u którego – gdy już jesteśmy starsi – dostrzegamy ojcowskie buty i przyklejoną brodę – czy to wszystko zawiera w sobie najważniejsze znaczenie tego wieczoru?

Stary polski zwyczaj każe zostawić przy wigilijnym stole jedno wolne miejsce. Dziś chyba się nie zdarza, by skorzystał z niego jakiś zabłąkany wędrowiec, który przypadkiem trafił pod nasz dach, więc to wolne miejsce ma już znaczenie tylko symboliczne. „Zajmują" je ci, którzy odeszli już na zawsze, którzy nie mogą być z nami, których chcielibyśmy gościć tego wyjątkowego wieczoru. A i dla tych siedzących realnie obok nas pewnie nie najważniejsze są dania i prezenty, ale atmosfera odczuwanej przez wszystkich wspólnoty – na dobre i na złe, wzajemnej serdeczności, dodającej otuchy nadziei, bo przecież z oczekiwania na święto, na lepszy dzień zrodziła się tradycja wigilijnego wieczoru. Niech te właśnie znaczenia wypełnią ewentualne puste miejsce po brakującym na stole karpiu lub innych wigilijnych specjałach, których nie będzie w stanie zapewnić matczyna najczęściej zapobiegliwość. Czuwajmy (wszak wigilia to po łacinie czuwanie), by wśród liczących się rzeczywiście znaczeń niczego nie brakowało tego wieczoru. To bardziej warte zachodu i późniejszej pamięci.

Tak się ostatnio złożyło, że wiele godzin spędzałem tam, gdzie czuwanie ma znaczenie dosłowne, gdzie jeszcze bardziej dosłownego, przerażająco dosłownego znaczenia nabiera puste miejsce. Czuwanie nie przed świętem, a przed żałobą. Puste miejsce nie dla kogoś, a po kimś. W szpitalu, przy łóżku bliskiej osoby docierają dopiero do nas te właściwe znaczenia. Tam trwa czuwanie ciągle rozwijającej się medycyny nad ciągle mimo to gasnącym ludzkim życiem, nad człowiekiem, po którym zostaje puste miejsce. Miejsce wypełnione pamięcią, która jednak właściwie nie ma już tak naprawdę większego znaczenia i co najwyżej uświadamia nam, czego nie zrobiliśmy, co zaniedbaliśmy, o czym zapomnieliśmy, gdy mogło to być jeszcze ważne. A ważne będzie choćby w czasie nadchodzących świąt. Spróbujmy o tym pamiętać teraz, a nie wtedy, kiedy będzie już na to za późno.

Nie tak dawno wstrząsnęła mną krótka notatka prasowa: na szosie E-81 w następstwie czołowego zderzenia Fiata 125 z ciężarowym Jelczem śmierć na miejscu poniósł kierowca Fiata, osiemnastoletni Jacek, uczeń III klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej; w drodze do szpitala zmarła pasażerka tego samochodu, osiemnastoletnia Arleta, uczennica technikum. Poznali się latem i była to miłość od pierwszego wejrzenia, na którą niechętnie patrzyli rodzice. Tego listopadowego dnia wybrali śmierć samobójczą na szosie. „Nikt nas nie rozłączy" – taki napis znaleziono w ich dokumentach. nikt też nie wypełni pustego miejsca, jakie pozostawili po sobie w swoich rodzinach...

Puste miejsca tam, gdzie z życiem przegrywa medycyna. Puste miejsca tam, gdzie z życiem przegrywa życie... Życie, w którym wokół Jacka i Arlety zbyt dużo było pustych miejsc tam, gdzie powinna być życzliwość, wyrozumiałość, ciepło.

Przepraszam za ten mało świąteczny temat dzisiejszej rozmowy, ale usprawiedliwiają mnie z jednej strony własne doświadczenia ostatnich dni, a z drugiej ... Z drugiej strony, czy to nie właściwy moment na poważną refleksję nie tylko o mijającym roku?

Ja za cztery dni, oprócz tradycyjnych kolęd, posłucham z pewnością II Symfonii „Wigilijnej" Krzysztofa Pendereckiego, w której też trudno byłoby szukać spokoju, światła i łagodności. Jest gwałtowna, ciemna i niespokojna. I tylko powracający cytat z popularnej kolędy przypomina, że to „cicha noc, święta noc" jest tematem czy raczej treścią tego muzycznego dzieła. Cicha noc, w której – jak w głośnym utworze duetu Simon/Garfunkel – wydarzy się wiele, czyniąc z niej noc daleką od cichej.

Pomyślmy o tym, gdy na niebie zapłonie wigilijna gwiazda. Spokojnych Świąt! Niech w nich jednak nie zabraknie miejsca na radość...

Jarek

ŚWIAT SKALNYCH DZIWÓW

Nie tylko Złote Piaski (2)

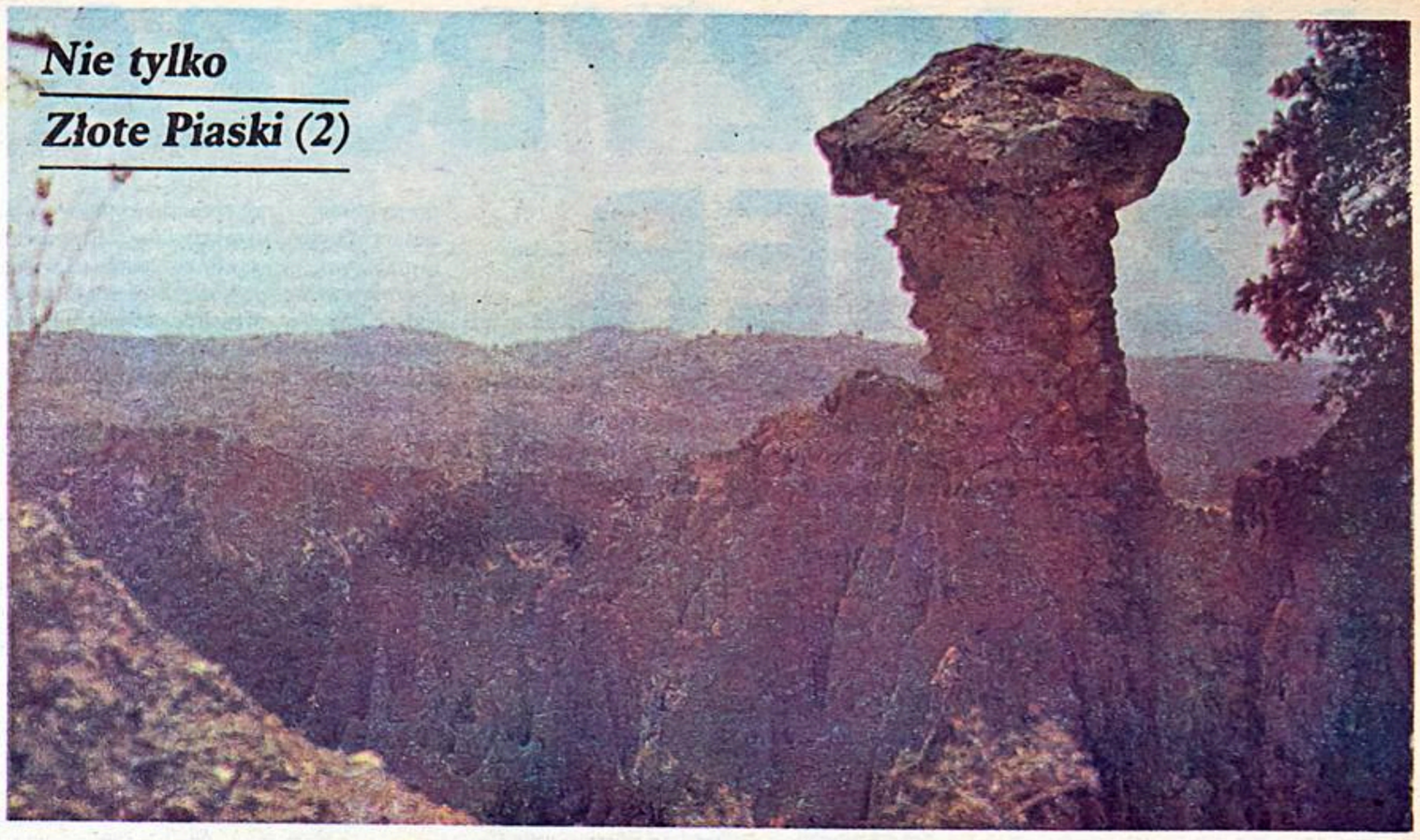

Pirin Północny już za nami. Im bliżej Mełnika, tym łagodniejszy i bogatszy w roślinność staje się krajobraz. Znikają potężne iglaste lasy, pojawiają się akacje i przeróżne liściaste drzewa, gęste krzewy tarniny, dzikiej róży, jeżyn porastające bogato białe i żółte piaskowe zbocza, urwiska i przedziwnie uformowane skały. Rozbijamy namioty u zbiegu dwu potoków kilometr przed Mełnikiem, w głębokim kanionie. Nad nami, góruje wielki zamek ze smukłymi basztami. Ale zamek to osobliwy, nie człowiek go zbudował. Zrobiła go natura: upały, chłody, deszcze, susze, wiatry wyrzeźbiły w glinie, piachu i kamieniach to wspaniałe dzieło. Wyrzeźbiły fantastyczną krainę zwaną Mełnickimi Piramidami.

* * *

Posuwamy się w górę suchego kanionu. Po obu jego stronach potężne prostopadłe ściany. Na wprost drogę zamyka gigantyczne zamczysko, znacznie wspanialsze od tego przy naszych namiotach. Smukłe baszty zwężają się ku górze i przeistaczają w iglice. Mury – w ostrą grań. Grań tak kruchą, że bodaj wystarczyłoby silnie tupnąć nogą, żeby spory fragment góry runął w przepaść. Kanion zwęża się i zamienia w wąski wąwóz. Wiatr tu nie dochodzi, upał czterdzieści stopni.

Niezwykły świat. Widzimy na tej niewielkiej połaci świat szarych hinduskich świątyń, czerwonych strzelistych gotyckich kościołów, białych starogreckich budowli w stylu Akropolu, purpurowych zamczysk z disneyowskich filmów, białych egipskich piramid, wielkich organów, grzybów, cielska wychudłych dinozaurów, sylwetki mnichów. Amerykański Kanion Kolorado wysiada przy tym. Tutaj dopiero można by kręcić wspaniałe westerny. Aż dech zapierają te widoki.

Ku południowi Piramidy opadają łagodnie. W dole wyłania się czerwony dach i białe ściany ostrokołu trzynastowiecznego Rożenskiego Monastyru. Mur jest niski i gruby, z otworami strzelniczymi. Przez wieki monastyr ten był ośrodkiem nauki szerzonej przez prawosławnych mnichów. Tutaj istniała słynna bułgarska szkoła kaligrafii. O posiadanie klasztoru toczyły się boje między Bułgarami a Grekami. Monastyr kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk: na jego wewnętrznych ścianach są bułgarskie i greckie napisy.

Drewniane krużganki okalają dziedziniec monastyru. Kiście winogron przysłaniają kolorowe starobułgarskie i greckie freski. Z krużganków wchodzimy do obszernych cel mnichów. Na drewnianych podłogach leżą grube wełniane koce, przy ścianach stoją szerokie łoża, masywne gliniane kominki, długie wyścielane poduchami ławy dla gości. Na półkach – stare, wielkie księgi. Mnisi wiedli tu dawniej z gośćmi i uczniami uczone dysputy.

* * *

Wracamy znów przez Mełnickie Piramidy. Kanion wiedzie do innego dziwacznego świata, do najmniejszego w Bułgarii, a może i w Europie, miasta – Mełnika. No bo cóż to za miasto, jeśli liczy pięciuset mieszkańców. A w czasie sjesty, w okresie największego w ciągu dnia upału, żywego ducha na ulicy nie uświadczysz. Tylko schludne, zadbane domy podpowiadają, że przyjdzie pora dnia, kiedy Mełnik odżyje.

Białe domy z czerwonymi dachami i wieżyczkami w kształcie minaretów, z balkonami oplecionymi winoroślą i oknami ozdobionymi kwiatami, malowniczo są wkomponowane w urwiste zbocza Piramid. Dach jednego budynku jest na wysokości podwórka drugiego. Domy pną się jeden za drugim wyżej i wyżej. Miasteczko ulokowane jest w dwóch kanionach. Tam gdzie domy są największe, gdzie dziś jest muzeum, poczta, biblioteka i hotel – mieszkali ongiś bogaci tureccy urzędnicy. A przy drodze wiodącej do wsi Rożen – po lewej stronie potoku żyli greccy kupcy. Po prawej – gdzie domki są najskromniejsze, ale bardzo czyste – mieszkali Bułgarzy.

Mały Mełnik musiał być ongiś większy. Mówią o tym ruiny kilkudziesięciu cerkwi budowanych w dziesiątym i jedenastym wieku, fragmenty kamiennych podmurówek dawnych domów. Miasto nie kończy się w kanionach. Idziemy stromą ścieżką na dwustumetrową górę i oto ruiny potężnej twierdzy. Mury grube na dwa i pół metra graniczą z przepaściami. Za tymi murami władał despota Sław Mełnicki. Długo Sław opierał się szturmującym twierdzę Turkom – przecież niełatwo forsować dwustumetrowe przepaście.

* * *

Ano, jak się rzekło, przyszła pora, kiedy Mełnik zatętnił życiem. Pod wieczór otwarto sklepy i winiarnie. Póki jeszcze powietrze jest nagrzane, najprzyjemniej wejść do wielkiej groty w piramidzie. Nazywa się „Izbata", czyli „Izba". Wewnątrz chłód. palą się świece na wielkich beczkach i długim drewnianym stole. Ogromny wzrostem winiarz nalewa gościom do glinianych kubków gęste, niemal czarne wino. Smakujemy i wychodzimy. Wspaniałego trunku wszędzie jest w Mełniku pod dostatkiem, ale nie sposób ujrzeć choćby trochę podchmielonego człowieka. Ano – kultura picia.

W winiarni poznałem miejscowego poetę. Deklamuje wiersze o Mełniku. Potem wyciąga starą fotografię i mówi: „To jest moje miasto, tak wyglądało w 1919 roku". – Na zdjęciu domy stoją tak gęsto jak dżonki w Hongkongu. Było ich około trzech tysięcy. Niemal wszystkie połączone ze sobą drewnianymi pomostami. I można się domyślić, żż z końca na koniec miasta dało się przejść przez ganki i balkony nie dotykając stopą bruku uliczy.

* * *

Kanion, w którym stoją nasze namioty, wydaje się być wielkim kotłem pełnym żaru. Ratują nas dwa zbiegające się nie opodal namiotów potoki. Potok Rożensko Dere chłodzi jednak tylko do dziesiątej rano – później woda w nim staje się gorąca jak w wannie. Dla ochłody dobry jest ten drugi, w cieniu drzew, ale obfituje w żmije wodne. Rychło okazuje się, że chlapanie się przez cały dzień nie najlepiej chroni przed upałem – kalorie z człowieka ulatują i w czterdziestostopniowym żarze ciałem trzęsą dreszcze. Dreszcze ustępują w chwili, gdy słońce chowa się za Piramidy.

Żegnamy najgorętsze miejsce Bułgarii. Mijamy ogromne winnice na zboczach. Kobiety w chustach napełniają kosze kiściami czarnych, słodkich winogron i śpiewają przy tym. Mijamy potem wielkie plantacje tytoniu. Docieramy do wsi Lubowiszta, zamieszkanej prawie przez samych starych ludzi. Sędziwa kobieta prosi, żebyśmy u niej pobyli przez parę dni. Powiada: „Będziecie u mnie jak moje córki i synowie".

Tych stron Pirinu Południowego nie da się opisać. Tylko z grubsza. Zielono-pomarańczowa łagodnie pofałdowana przestrzeń z głębokimi, dziko zarośniętymi parowami. Od Grecji – stąd piętnaście kilometrów do granicy – wieje ciepły łagodny wiatr. pachnie morzem i ziołami. W bujnych spalonych słońcem trawach buszują zielone cykady wielkości wskazującego palca, co krok niezdarnie gramolą się spore żółwie. Czasem – tuż przed nami – przecina ścieżkę półtorametrowy brunatny wąż zwany w Bułgarii smokiem.

Namioty rozbijamy po ciemku w głębokim parowie przy pierwszej napotkanej wodzie. Potok prawie wyschnięty, wody jak na lekarstwo. Ale obecność raków dojrzanych w świetle latarki świadczy, że można ją pić. W nocy trawa „gada" szelestem owadów, jaszczurek i świergoleniem tysięcy cykad. Powietrze też gada furkotem spłoszonych czymś ptaków.

ANDRZEJ BARCHACZ
Zdjęcia **autora**

DOKOŃCZENIE ZE STR 1

UWAGA: Piosenka „Porozmawiajmy o Wirginiuszu", której słowa i nuty zamieściliśmy na str. 1 jest dość skomplikowana, choć można ją w waszym wykonaniu uprościć, opuszczając tzw. przedśpiew (pierwsze jedenaście wersów). W kolejnych zwrotkach w oryginalnym wykonaniu zespołu słowa poszczególnych wersów śpiewa najpierw solista, potem powtarza je chór.

ŚPIEWNIK

Harcerski Zespół Tańca i Piosenki „Słoneczna Gromada" z Barlinka jest taki jak proponowana przezeń piosenka: wesoły, roześmiany, skory do śpiewu i zabawy, czujący się dobrze w swojej kilkudziesięcioosobowej gromadzie. Cóż, to uzasadnia przyjętą przed kilku laty nazwę. Zuchy i harcerze ze „Słonecznej Gromady" chcą bowiem nieść innym radość i uśmiech, być dla nich jak i dla siebie promykiem, ciepłem, światłem. Jak Słońce. I są właśnie tacy już od blisko dwudziestu lat. Bo zespół jest starszy niż jego aktualna nazwa.

Powstał w 1964 roku w Szkole Podstawowej nr 1 w Barlinku. Najpierw był harcerską drużyną artystyczną, później – gdy zapotrzebowanie na występy rosło – przekształcił się w Zespół Pieśni i Tańca, posiadający w swoim repertuarze wiele tańców regionalnych i narodowych, wysoko ocenianych na przeglądach wojewódzkich w Szczecinie. Kiedy Barlinek znalazł się w województwie gorzowskim, oczekiwania wobec zespołu wzrosły, tak jak i ilość występów. Kłopoty były tylko z chłopcami, których ciągle brakowało. Wpłynęło to na zmianę charakteru i nazwy zespołu, do którego nadal należą uczennice i uczniowie (bo kilku się jednak uchowało!) dwóch barlineckich szkół podstawowych.

Tańcząco-śpiewająca „Słoneczna Gromada" ma dziś w swym repertuarze piosenki, obrazki taneczne, tańce narodowe i regionalne, a także – w wykonaniu starszej grupy – tańce estradowe. Zespół trzykrotnie brał udział w Festynie Piosenki i Tańca Kraju Rad w Zielonej Górze i – również trzykrotnie (Srebrna i Złota Jodła!) – w Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach. W 1978 roku wziął udział w Festiwalu „Radość Europy" w Jugosławii, a w 1979 roku zajął I miejsce w Ogólnopolskich Konfrontacjach Tanecznych w Koninie. Występował również w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Dwukrotnie śpiewał i tańczył dla widzów warszawskiej Sali Kongresowej, a w ubiegłą sobotę oglądali go rówieśnicy w sali warszawskiego teatru „Buffo", gdzie już po raz drugi odbyły się prezentacje harcerskich i szkolnych zespołów.

Kierownikiem artystycznym „Słonecznej Gromady" jest hm. Leokadia Malanowska. (**jot-el**)

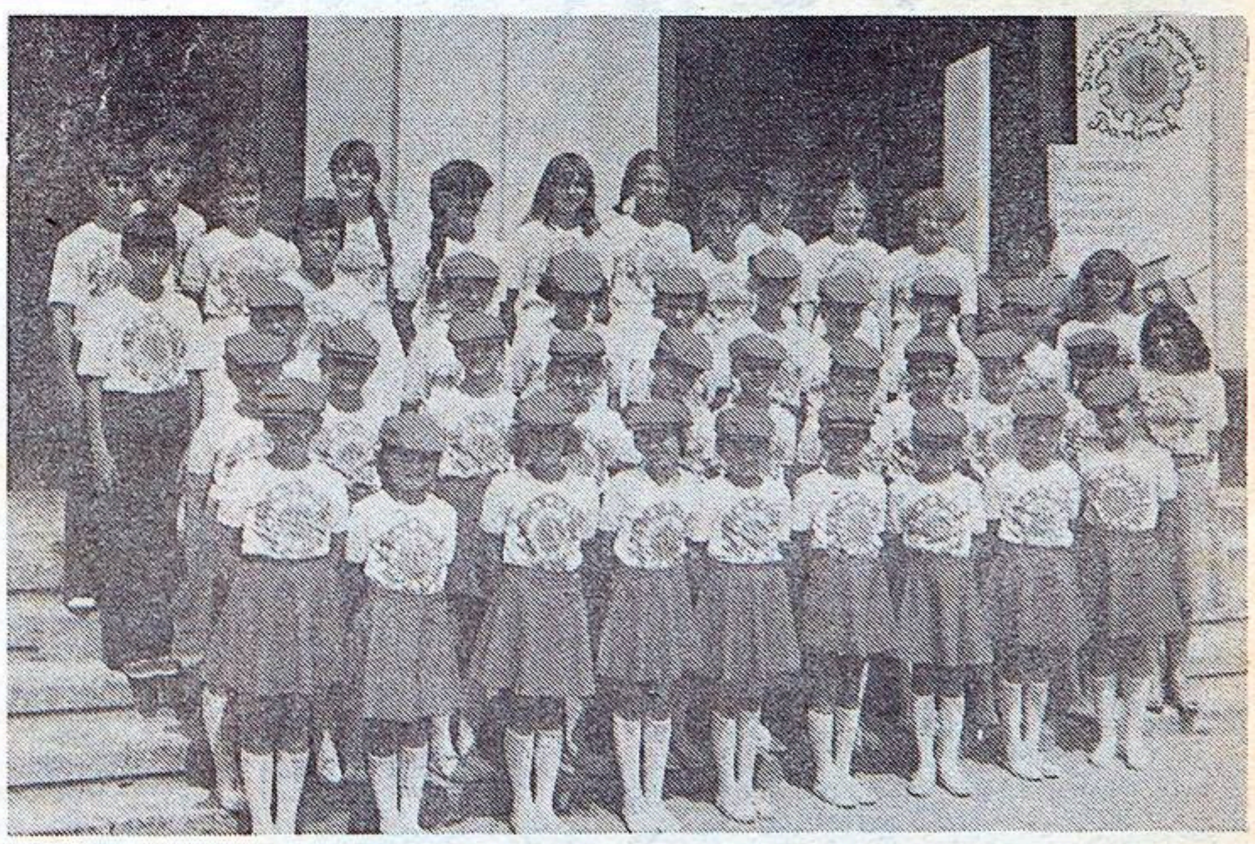

NAJSZYBSZA Z GIER

Hokej jest grą wprost błyskawiczną. Wpływa na to zawrotne tempo poruszających się na łyżwach zawodników, dynamika akcji, stosunkowo małe rozmiary boiska, a głównie prędkość lotu krążka, dochodząca do... 150 km/godz. Aż trudno sobie wyobrazić, jakim refleksem muszą wykazywać się gracze, a zwłaszcza bramkarze, którzy przechwytują ten maleńki przedmiot. Stąd też hokej jest niezwykle widowiskowy. Gole padają często w odstępach dosłownie kilku sekund, a obraz gry zmienia się niczym kalejdoskopowa mozaika.

W przeciwieństwie do większości gier hokej nie należy do starych dyscyplin. Liczy sobie około 300 lat. Uprawiali go najpierw Indianie, którzy zamieszkiwali na terenach obecnej Kanady, a następnie stacjonujący w tamtejszych fortach żołnierze angielscy. Stąd też za ojczyznę hokeja uważa się kraj spod znaku klonowego liścia. Pierwszy oficjalny mecz rozegrali między sobą kanadyjscy studenci w roku 1875. Niespełna 20 lat później lord Stanley of Preston ufundował puchar, który do dziś stanowi główne trofeum dla zespołów zawodowych. Podobną nagrodę, ale już na początku naszego stulecia, ufundował Montagu Allan – dla drużyn amatorskich.

Kanadyjczycy bardzo długo królowali na lodowej tafli. Np. podczas pierwszych nieoficjalnych mistrzostw świata, rozgrywanych z okazji igrzysko olimpijskich w Chamonix (Francja – 1924), bawili się z rywalami niczym kot z myszką. Szwedów rozgromili wynikiem 22:0, Czechosłowaków – 30:0, a Szwajcarów – 33:0. Do nich też należy rekordowy rezultat hokejowego meczu, ustanowiony w spotkaniu z Danią – 47:0!

Rzadko komu udawało się nawiązać równorzędną walkę z zespołem Kanady. W organizowanych przez Międzynarodową Federację Hokeja na Lodzie (LIHG) MŚ reprezentanci tego kraju wywalczyli w latach 1924–1962 aż 18 tytułów najlepszej drużyny świata. Ich hegemonię przerwali dopiero, w 1963 roku przedstawiciele ZSRR, którzy obecnie są trudni do pokonania. Tak więc historia hokeja rozróżnia dwie epoki – pierwsza to dominacja Kanady, druga – ZSRR. Inne zespoły (USA, Szwecja, Czechosłowacja i Wielka Brytania) zdobywały tytuły mistrzów w nielicznych wypadkach.

Początki hokeja w naszym kraju związane są z Tadeuszem Adamowskim, który długo przebywał w USA i po powrocie do Polski zaczął propagować amerykański styl gry. Pierwsze zespoły powstawały we Lwowie już około 1905 roku, ale mistrzostwa kraju zorganizowano 22 lata później. Do najsilniejszych klubów tamtego okresu należały „Legia" i AZS Warszawa, „Pogoń" i „Czarni" – Lwów, AZS Poznań oraz „Cracovia" Kraków.

Po II wojnie najwięcej sukcesów odnieśli zawodnicy z Nowego Targu – zespół „Podhala", który też dostarczył narodowej kadrze

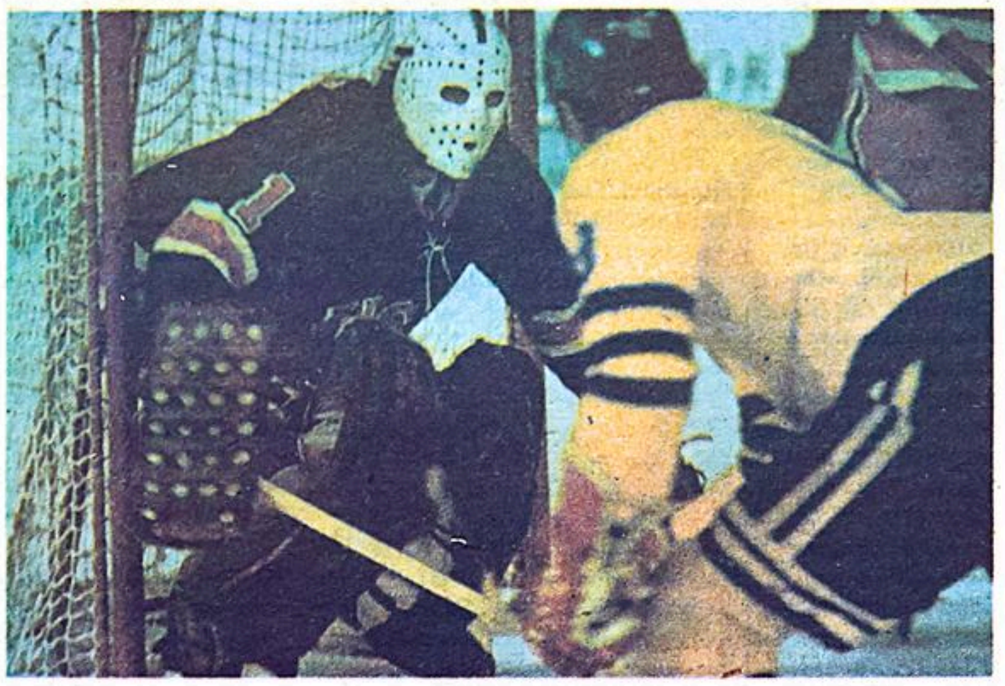

najwięcej hokeistów. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie zaliczaliśmy się do światowych potęg. Wprawdzie często występowaliśmy w grupie A (najsilniejszej), jednak szybko odprawiano nas do grupy B (średniaków). Obecnie także rywalizujemy w tej drugiej.

DRUŻYNY

Zespół składa się z sześciu graczy, których określa się w następujący sposób: bramkarz, prawy obrońca, lewy obrońca, środkowy, prawoskrzydłowy i lewoskrzydłowy. Dotyczy to zawodników będących na lodzie. Do gry uprawnionych jest jednak dziewiętnastu hokeistów. Trenerzy dysponują trzema pełnymi piątkami zawodników, które zmieniają się kolejno nawet w odstępie kilkudziesięciu sekund.

Każdy hokeista oznaczony jest numerem (na plecach i na obydwu ramionach). Kapitan zespołu ma ponadto literę „C", a jego zastępca – „A".

BOISKO

Wymiary lodowiska wynoszą 61–56 m długości i 30–26 m szerokości. Całość pola gry otoczona jest bandami o wysokości 1,22–1 m, licząc od powierzchni lodu. Narożniki lodowiska są zaokrąglone. Promień zaokrąglenia wynosi 5,2–6 m. W odległości 3–4 m od każdej krótszej bandy wyznaczona jest linia czerwona o szerokości 5 cm, biegnąca równolegle do band przez całą szerokość boiska. Jest to linia bramkowa, na której ustawione są bramki. Rozmiary bramki – 1,83×1,22 m. Lodowisko zawarte między liniami bramkowymi dzieli się na trzy równe części (strefa obrony, neutralna i ataku) dwiema liniami niebieskimi. Na lodowisku wyznacza się też pola bramkowe (półkola o promieniu 1,80 m, kreślone od środka linii bramkowej). Środek boiska zaznacza się kreską czerwoną, na której znajduje się koło o promieniu 4,5 m. Istnieją też (w strefie neutralnej i na końcach boiska) punkty wznawiania gry. Każde lodowisko hokejowe musi być wyposażone w ławki dla obydwu drużyn oraz tzw. ławki kar – dla zawodników wykluczonych czasowo z gry. Wszystkie wyjścia z lodu winny być tak skonstruowane, aby drzwiczki (stanowiące część bandy) otwierały się na zewnątrz boiska.

Strzelone gole oznajmiane są za pomocą czerwonego światła umieszczonego za każdą z bramek.

Gol uznany jest tylko wówczas, gdy krążek całym obwodem przejdzie linię bramkową.

Mecz trwa trzy razy po 20 min. Każda z przerw w grze nie jest wliczana do czasu spotkania. Do czasu gry nie wlicza się również chwil, w których wykonuje się rzuty karne.

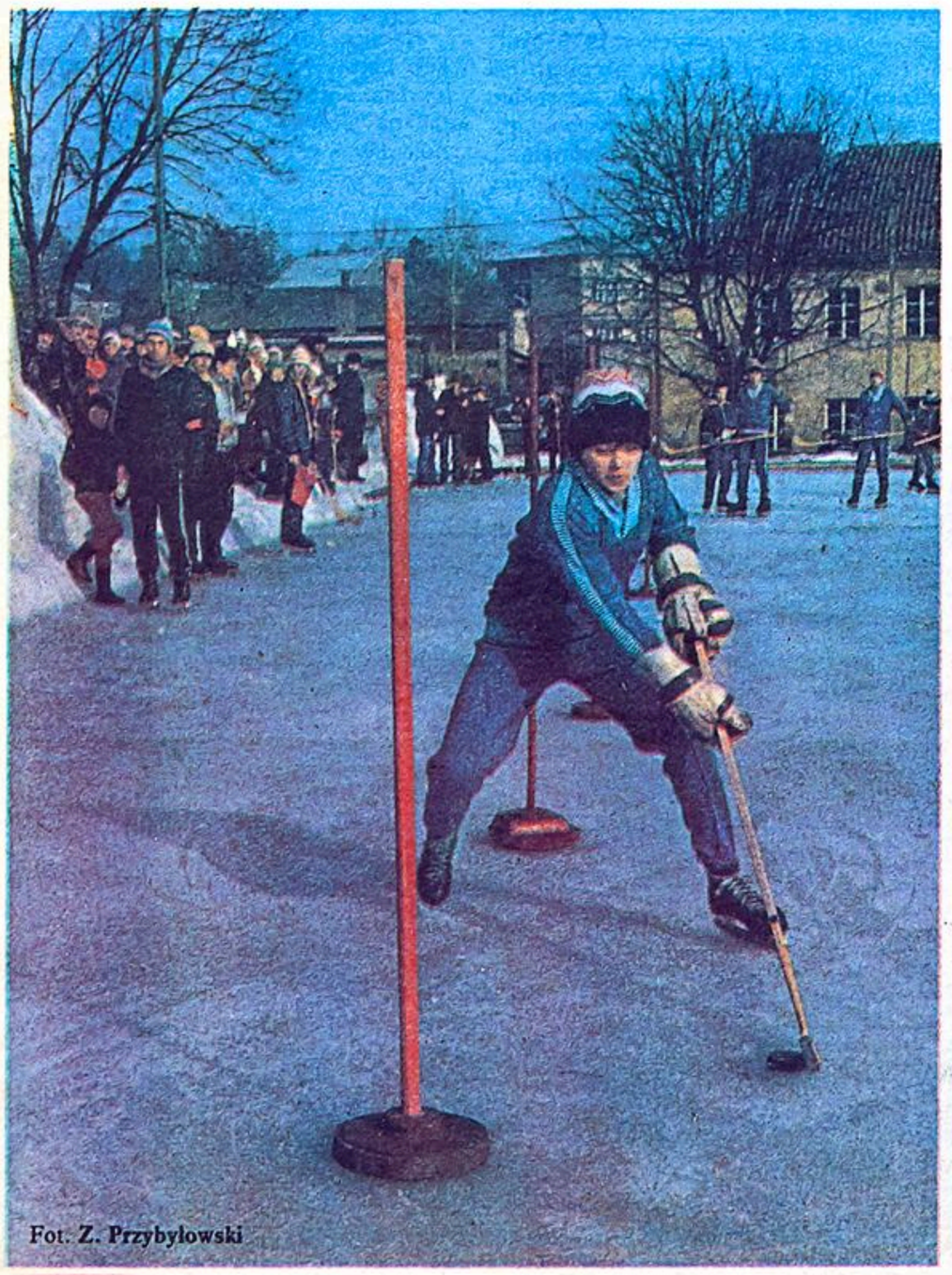

Fot. Z. Przybyłowski

ZŁOTY KRĄŻEK „ŚWIATA MŁODYCH"

Ten wielobój łyżwiarski słusznie nazywany jest hokejowym przedszkolem. Cieszy się on ogromnym powodzeniem w naszych szkołach podstawowych. Dlatego też „ŚM" każdego roku organizuje ogólnopolskie turnieje Złotego Krążka, w których udział biorą najlepsze drużyny. **Aktualnym posiadaczem głównego trofeum są chłopcy ze Szkoły Sportów Zimowych w Nowym Targu**. Warto również dodać, że od ZK zaczynali swoją karierę wszyscy najlepsi obecnie hokeiści.

Wielobój składa się z następujących konkurencji: jazdy przodem z prowadzeniem krążka, jazdy tyłem z kijem hokejowym, jazdy slalomowej z prowadzeniem krążka i strzałów do bramki. W każdej konkurencji występuje pięciu zawodników, którzy wykonują po dwie próby. Do punktacji liczy się czas lepszy. Na wynik końcowy składa się suma czasów czterech konkurencji.

SPRZĘT

Długość hokejowego kija wynosi 135 cm (od piętki łopatki do końca rękojeści). Rozmiary łopatki – do 37 cm (długość) i do 7,5 cm (szerokość). Łopatka kija bramkarza jest szersza – 9 cm. Każdy bramkarz ma na nogach ochraniacze, tzw. parkany, które nie mogą być szersze niż 25 cm. Bramkarzy obowiązują maski chroniące twarz, a wszystkich zawodników kaski. Ponadto ciało hokeistów kryją specjalne, wykonane z lekkich tworzyw sztucznych, ochraniacze (na barki, obojczyki, plecy, brzuch, piersi itp.). Ciężar krążka (guma) wynosi 156–170 g, a rozmiary: średnica – 7,62 cm, grubość – 2,54 cm.

SPALONY

W hokeju istnieją dwa rodzaje spalonych: na niebieskiej i na czerwonej linii. O spalonym decydują pozycja łyżew przy odbiorze krążka od partnera oraz pozycja krążka. Jeżeli zawodnik zespołu atakującego poda krążek z własnej strefy partnerowi znajdującemu się (łyżwami) za linią środkową – mamy do czynienia ze spalonym na czerwonej linii. Jeżeli zawodnik poda krążek ze strefy środkowej partnerowi, który wcześniej znalazł się w strefie ataku, następuje spalony na linii niebieskiej.

RZUT KARNY

Na sygnał sędziego zawodnik, który wykonuje rzut karny, rozpoczyna z punktu środkowego lodowiska jazdę z krążkiem w kierunku bramki przeciwnika. Na tej połowie lodowiska przebywa tylko bramkarz, któremu nie wolno opuścić pola bramkowego, aż do momentu, gdy krążek nie przejdzie linii niebieskiej. Strzał na bramkę musi być wykonany z tzw. nieprzerwanej akcji. Przy rzucie karnym nie ma dobitek. Jako ciekawostkę warto podać, że gol może zostać uznany nawet w wypadku nieprzekroczenia przez krążek linii bramkowej. Stanie się to w wypadku, jeżeli podczas wykonywania rzutu karnego bramkarz rzuci swój kij w kierunku prowadzącego krążek.

KARY

1. **Kara mniejsza**; powoduje wykluczenie zawodnika na okres 2 min. Sędzia udziela jej tej drużynie, która np. sfaulowała rywala zahaczając go kijem. Przepisy mówią o 53 wypadkach udzielania tej kary. Gdy zespół grający w osłabieniu traci bramkę, zawodnik ukarany natychmiast wraca na lód. 2. **Kara mniejsza techniczna**; konsekwencja jak wyżej. Stosuje się ją np. za obraźliwe zachowanie się trenera, rzucenie na lód dowolnego przedmiotu itp. 3. **Kara większa**; wyklucza gracza na czas 5 min. niezależnie od liczby utraconych przez jego zespół goli. Przepisy mówią o 12 wypadkach nałożenia tej kary, np. za niedozwolone zaatakowanie kijem bramkarza, za umyślne zranienie przeciwnika itp. 4. **Kara za niesportowe zachowanie się**; obowiązuje na czas 10 min. Wykluczonego zawodnika (np. za próbowanie zranienia przeciwnika lub sędziego) zastępuje inny. 5. **Kara meczu**; powoduje wykluczenie na cały mecz. Ukarany gracz natychmiast udaje się do szatni. Zastępuje go inny zawodnik, ale po upływie 10 min. Tę karę stosuje się np. za wszczynanie bójek. 6. **Rzut karny**; sędzia podejmuje taką decyzję np. za zaatakowanie z tyłu zawodnika, jadącego z krążkiem w kierunku bramki, za celowe zakrycie krążka w strefie obrony itp.

PODZIAŁ NA GRUPY

Hokejowe MŚ rozgrywano dotąd różnymi systemami (w zależności od ilości startujących). Początkowo stosowano eliminacje, których zwycięzcy awansowali do ścisłego finału. W roku 1961 ustalono stały podział na grupy. Najsilniejsze drużyny zaliczono do grupy A, słabsze do B, najsłabsze do C. Każda z tych grup ma swoje mistrzostwa. Liderzy słabszych grup awansują do mocniejszych, zaś drużyny ostatnie każdych mistrzostw spadają do mniej wartościowego pod względem umiejętności grona zespołów. (zp)

SYGNALIZACJA SĘDZIOWSKA

*1. **Niedozwolone atakowanie ciałem**: rotacja pięści obydwu rąk na wysokości klatki piersiowej. 2. **Podcięcie**: uderzenie prawą ręką od tyłu pod kolano ugiętej prawej nogi. 3. **Kłucie kijem**: wyrzut na wprost obydwu rąk, wykonujących kłucie na wysokości bioder i opuszczenie rąk. 4. **Niesportowe zachowanie się**: obydwie otwarte dłonie kilkakrotnie dotykają bioder, po czym następuje wskazanie gracza przekraczającego przepis. 5. **Zbyt wysoko trzymane kije**: wzniesienie zwiniętych dłoni; jedna dłoń nad drugą na wysokości czoła. 6. **Rzut karny**: wzniesione ponad głowę ramiona ze skrzyżowanymi w nadgarstkach dłońmi.*

Oswajanie mikrokomputera

Od pewnego czasu duch mikrokomputera krąży po Warszawie. A wraz z nim takie określenie, jak „komputer osobisty", „mikrokomputer dla wszystkich" itp. Wiosną odbyło się specjalne spotkanie entuzjastów mikrokomputeryzacji, gdzie niezależnie od pokazu samych urządzeń, dużo mówiono o nich i o szansach ich liczniejszego pojawienia się w Polsce. Później powstał – o czym swego czasu donieśliśmy – mikrokomputerowy klub „Abakus", który do dziś skupił już sporo zapaleńców, rozpisał konkursy na minikomputerowy program, zorganizował wiele spotkań dostępnych dla wszystkich chętnych, a i o stworzeniu swych filii w kraju pomyślał. No, a ostatnio – 12 listopada – otwarto w warszawskim Muzeum Techniki dość gromko zapowiadaną w pasie wystawę **„Minikomputer dla każdego"**. Jak wcześniej komunikowali organizatorzy – *„będą na niej prezentowane 8-bitowe mikrokomputery osobiste, biurowe i naukowo-techniczne produkcji krajowej – Instytutu Elektroniki Politechniki Warszawskiej, Przemysłowego Instytutu Elektroniki, MERA-ELZAB, PPZ IMPOL, Pracowni Elektroniki Medycznej. Będzie pokazany mikrokomputer firmy Robotron z NRD."*

Określenie „komputer" wciąż należy u nas do nieco zagadkowych, a wielu ludzi wyobraża go sobie nadal jako wielkie, żelazne pudło pełne technicznych tajemnic. Wyobrażenie to jako tako odpowiada dawnym tzw. komputerom pierwszej generacji. Dziś mikroprocesory uczyniły z komputera urządzenie, które robi takie wrażenie, jakby go... w ogóle nie było. Patrząc na mikrokomputer stojący na biurku czy wystawiony na wystawie, widzi się przede wszystkim tzw. urządzenia peryferyjne, z jakimi jest sprzężony: monitor, magnetofon, klawiaturę, przy pomocy której wydajemy mikrokomputerowi rozkazy. On sam okazuje się niepozorną, płaską płytką. Nic też dziwnego, że może się stać urządzeniem równie „osobistym", jak zegarek czy przenośny radioodbiornik. Zwłaszcza, że w roli urządzeń peryferyjnych mogą wystąpić elementy elektronicznego wyposażenia najzwyklejszego współczesnego mieszkania: telewizor, magnetofon kasetowy. Np. pokazany na wystawie mikrokomputer IMZ 80, produkcji firmy polonijnej IMPOL, jest przystosowany do łączenia go z tymi urządzeniami.

Figury szachowe na ekranie wskazują, że z tym komputerem można zagrać w szachy

Choć w dniu otwarcia wystawy pogoda nie zachęcała do ruszania się gdziekolwiek – w Muzeum Techniki panował ścisk. Niełatwo było dopchać się do stoisk, gdzie wymienione poprzednio placówki wystawiły swoje urządzenia. Czuwający tu przedstawiciele tych placówek udzielali objaśnień. Zewsząd słyszało się takie fachowe określenia, jak „floppy-dysk", „interfejs", „bit" itp., a przy stoiskach rozpoczęły się dyskusje i rozmowy, z których laik ni w ząb nic nie mógł pojąć. Przyszło też sporo osób zainteresowanych zdobyciem na własność mikrokomputera. Pytali o możliwość jego nabycia, o cenę. Polskie mikrokomputery można będzie kupić, gdy na dobre ruszy produkcja firmy polonijnej IMPOL, a stanie się to w przyszłym roku. Pokazany przez nią na wystawie mikrokomputer będzie powstawał prawie wyłącznie z elementów produkcji krajowej. Druga możliwość dla poszukujących mikrokomputera – to przywiezienie go z zagranicy. Wiele osób już z takiej możliwości skorzystało. Podczas wystawy niektórzy radzili się fachowców, jakie urządzenie najlepiej wybrać. Dodajmy, że na Zachodzie proste komputery osobiste kosztują po kilkadziesiąt dolarów.

Ale nie tylko fachowcy oraz ci, którzy chcą zdobyć komputer, zjawili się tego dnia w Muzeum Techniki. Jak zapowiedzieli organizatorzy – *„wystawa ma na celu popularyzację techniki mikrokomputerowej i jest adresowana do szerokich kręgów społecznych, w szczególności do młodzieży".*

Młodzież, trzeba przyznać, dopisała. W stoisku klubu „Abakus", do którego najtrudniej było się dopchać, dziewięciu chłopców w wieku około lat dziesięciu, obstąpiło mikrokomputer „Oric" i nic ich od niego nie zdołało odpędzić. Przyczyną była gra w jaką było można zagrać z tym właśnie komputerem. Na monitorze poruszały się jakieś latające obiekty, które można było zestrzeliwać przy pomocy ruchliwych strzałeczek. Dokonywało się tego, manipulując na klawiaturze przyciskami. Słyszy się sporo o mikrokomputerowych grach dydaktycznych, ale tej dydaktyczną bym nie nazwał. Ot, zwykła gra zręcznościowa, gdzie bardziej trzeba ruszać palcami, niż głową. Ale – jak mnie zapewnili przedstawiciele klubu „Abakus" – dysponują już programami gier bardziej ambitnych, ponadto też – programami do nauki języka agnielskiego i fizyki. Większość tych programów (jak i przedstawione przez „Abakusa", urządzenia) jest zagranicznego pochodzenia, ale ludzie z klubu chcą opracować atrakcyjne programy własne. Jak mi powiedział szef i założyciel klubu p. Leszek Wilk – ich udział w wystawie miał na celu oswojenie zwiedzających, zwłaszcza tych najmłodszych, z nowymi dla większości urządzeniami. Jeżeli tak, to udało się. Najmłodsi dorwali się tu do nich jako pierwsi. Dziewiątka chłopców przy mikrokomputerze „Oric" musiała dyrygować jedna z mam, by sprawiedliwie ustępowali sobie miejsca przy klawiaturze. Przy innych mikrokomputerach „Abakusa" było identycznie, a dorośli musieli ustąpić najmłodszym.

O perspektywach mikroelektroniki – zwanej „drugą rewolucją przemysłową" – niedawno szerzej pisaliśmy. Już zresztą takie jej nazywanie wskazuje, że jej przyszłość – to nie tylko zręcznościowe, a choćby i dydaktyczne gry i zabawy. Nasz kraj nie należy jednak do mikroelektronicznej czołówki. Wprost przeciwnie... Więc ta dziedzina nie rewolucjonizuje naszego życia, jak to zaczyna czynić w wielu już krajach świata. Ale świadomość jej perspektyw i do nas przecież przenika, zapalając w pierwszym rzędzie umysły entuzjastów. Oni chcą już dziś mieć z tą dziedziną do czynienia – choćby na razie chodziło tylko o pogranie z mikrokomputerem w szachy, albo i prostszą grę. A może wiążą z mikroelektroniką jakieś inne, poważniejsze nadzieje na dziś, czy na najbliższe lata?

Niebawem spotkamy się w „ŚM" z jednym z tych entuzjastów i zapytamy go o to...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **Marek Szymański**

W DOMU

Maluchy. To jest ich dom, stałe miejsce pobytu, stąd idą z wizytą i tu wracają. Ale choć mają tu więcej ciepła i serca niż u rodziców, choć w wielu wypadkach tu dopiero ktoś się nimi naprawdę zajął, ubrał, dał jeść, mamusia i tak jest i będzie najukochańsza.

Trwa między nimi twarda „walka o byt". Byt psychiczny. O zainteresowanie, o zwrócenie na siebie uwagi za wszelką cenę. A konkurentów wielu. Jakże trudno małemu człowiekowi „przebić" kilkunastu pozostałych.

Starsi przychodzą do nich, kiedy już odrobią lekcje. Pomagają przy kąpielach, przy pracach porządkowych. Pani wychowawczyni maluchów utrzymanie kontaktu między rówieśnikiem z różnych grup uważa za niezwykle ważne. Żeby mieli w przyszłości kogoś bliskiego.

Życie starszych. Godzina 6,00 – pobudka. Piekielnie rano, ale skoro większość idzie do szkoły na 7,30... Mycie, ubieranie, sprzątanie. Czystość wszak być musi. A sprzątaczki w całym domu dziecka nie ma ani jednej. No więc codziennie, zgodnie z comiesięcznym rozkładem dyżurów, każdy jest odpowiedzialny za czystość w jakimś pomieszczeniu: w łazienkach, sypialniach, na korytarzu. Dyżurni nakrywają do śniadania. Śniadanie. Szkoła.

Wracają ze szkoły o różnych porach, tak jak kończą im się lekcje. Obiad. Do 15,30 mają czas dla siebie. Wolnym zwany. Grają w ping-ponga, idą na dwór, do miasta po zakupy, niektórzy na trening sportowy. Robią przepierki, prasują koszule. Muszą się tego nauczyć, wszak w przyszłości też ich te czynności nie ominą.

15.30 – zaczyna się odrabianie lekcji. Większość z wychowawcą w „uczelni", samodzielniejsi w nauce w sypialniach.

Wychowawca musi sprawdzić wszystko, co zostało napisane – odpytać z ustnych, przygotować do zapowiedzianych klasówek.

18.00 – kolacja. Po kolacji szczęśliwcy, którzy lekcje odrobili, mają wolne, reszta wraz z wychowawcą – wykańcza. O 19,30 każdy znów łapie się za swój dyżur. O 21.00 wokół czystość i porządek, prawie wszyscy leżą w łóżkach, ci, którym wolno (jest to jedna z form nagradzania) oglądają program TV.

Sobota to do 14,00 zajęcia reedukacyjne, uzupełnianie wiadomości, powtórki. O 14,00 niektórych zabierają na weekend rodzice, większość zostaje. Sobota – niedziela to czas wycieczek, kina, muzeum, robienia zdjęć, wyprawiania imienin.

Poniedziałek o 6,00 – pobudka...

Wychowawczyni chłopców: *Z chłopcami jest łatwiej, to znaczy łatwiej ich porwać, zainteresować wycieczką, sportem, wykazują większą chęć poznawania świata. Są konkretniejsi niż dziewczęta, nieobrażalscy, niehumorzaści.*

Z rozmów z chłopcami: *Wielu ludzi spoza naszego grona nie ma pojęcia o tym, z jakiego powodu tu się znaleźliśmy, nie wyobraża sobie, w jakiej życiowej sytuacji byliśmy przedtem. Myślą, że dom dziecka to jakieś więzienie, a co najmniej zakład zamknięty. Kiedy ktoś mówi, że jesteśmy inni, gorsi, bo z domu dziecka, nie ma sensu reagować. Wyjdzie na głupiego, który gada sam do siebie. Starsi z nas już to wiedzą i potrafią się powstrzymać, młodszych jednak czasem ponosi.*

Nam jest tu fajnie. W domu rodzinnym nie ma takiej atmosfery, tylu kolegów i koleżanek. Tu wraca się ze szkoły z zadowoleniem, bo wiadomo, że ma się z kim porozmawiać. I tu jest co robić. W tenisa możemy grać na własnym terenie, w kosza i w siatkę. Codziennie mamy w grupie bloki muzyczne: na pobudkę, po południu i wieczorem. I swoje „Studio młodych" z listami przebojów. Stąd wyjeżdża się do Czechosłowacji i do zaprzyjaźnionych rodzin w Holandii, spędza wakacje w Szwajcarii, zwiedza się kraj ojczysty. Tu mamy takie ciuchy z darów, o jakich wielu ludziom z domów rodzinnych nawet się nie śni, zagraniczne zabawki, rowery. To jest najlepszy dom dziecka w Polsce. Mamy luz, możemy sobie wychodzić na miasto, grać w piłkę.

Jeśli mielibyśmy porównywać nasz dom z domem rodzinnym, to z takim, w którym rodzina czuje do dziecka sympatię, rozumie jego kłopoty. Jest naszym drugim domem. A dla niektórych i pierwszym, bo w domu rodzinnym jesteśmy rzadziej, a z tym jesteśmy związani. I wiemy, że wychowawcy chcą nam pomóc, żebyśmy byli kimś w przyszłości, a nie wyszli stąd ciemni.

Chłopcy twardo bronią wyższości domu dziecka nad rodzinnym. Wszystko jest o'key. Tylko że trochę są już zmęczeni wymaganiami wychowawcy co do nauki, tym, że zaraz po powrocie ze szkoły, czasem bez chwili oddechu, znów muszą zasiadać do książek. Ale tego tematu nie chcą szerzej omawiać. Dużo więcej mają za to do powiedzenia na temat zakały ich grupy. Co to zupełnie nie potrafi się opanować, tylko zabiera, co nie jego, psuje, bałagani. Dostaje od nich za to ile wleże i... dalej to samo. Tracą już nadzieję, że uda im się na niego wpłynąć, nauczyć go porządku, że kiedykolwiek wyjdzie z dna, na którym się według nich znalazł. Trzeba postawić na nim krechę. Daję się wyprowadzić z równowagi, mówiąc coraz głośniej o braku tolerancji z ich strony, której od innych wymagają. O tym, że najłatwiej kogoś skreślić, zamiast uzbroić się w anielską nawet czasem cierpliwość i próbować, próbować, próbować. (Jak w rodzinie. Jak w rodzinie?)

Wychowawczyni dziewcząt: *U mnie w grupie stosunkowo dużo dziewcząt wychodzi na soboty i niedziele do domu. No więc czekają tylko od poniedziałku do piątku. Jak w internacie. Wychowawca jest i będzie dla nich zawsze kimś narzuconym, od kogo się uzależnione. Jedyne, co mamy tu z rodziny, to brak szytwności w naszych stosunkach, pewien luz.*

Jej wychowanki. Pierwsza: *W domu rodzinnym zawsze mogłam i mogą chodzić na rzęsach. A tu rygor. Na wyjście trzeba sobie dopiero zasłużyć.*

Druga: *A mnie tu jest dobrze. W domu byłam na marginesie, bez szans porozumienia się z matką. Tu mam się komu zwierzyć, bo są tu osoby, do których mam zaufanie. Tu odżyłam. Mimo że niektóre dziewczyny nazywają mnie lizusem. Za to tylko, że umiem porozumieć się, pogadać dłużej z wychowawczynią.*

Trzecia: *Chłopcy są bardziej lubiani i faworyzowani przez dyrekcję. Mają wychowawcę „z chodami". Czego nie zapragną, wychowawca zaraz załatwi.* (Jak w domu rodzinnym? Jedni rodzice są obrotniejsi, mają większą siłę przebicia. Inni... *Ale i tak byśmy go nie chciały. Odetchnąć by nam nie dał.*

Wychowawczyni dziewczyn: *Cieszę się, że mam właśnie dziewczyny. Chłopcy nie potrafią tak jak one dzielić się swoimi radościami i kłopotami. Ani tak się uśmiechać. Moje dziewczyny nie wstydzą się przytulić, połasić, dać buzi. I to zarówno małe jak i duże. Można się z nimi i powygłupiać, i pogadać poważnie, od serca. Łączy nas chyba po prostu nasza bliskość. Żeby jeszcze tylko zrozumiały, bez narzucania im rygoru, że naprawdę warto się uczyć.*

Z rozmów z dziewczynami: *W czasie wolnym aż cztery z nas często grają w nogę z chłopakami. I w ping-ponga. A nade wszystko lubimy słuchać muzyki. Oczywiście „Lady Pank", „Oddziału Zamkniętego", „Lombardu", „Ozzi", „2+1". Za „Republiką" nie przepadamy. Tak bełkocą, że właściwie zupełnie nie można zrozumieć tekstu. Nasza Jolka prowadzi, mniej lub bardziej regularnie zajęcia aerobiku. Podpatrzy w telewizji, obmyśli sobie różne układy, a potem wystarczy puścić magnetofon i wszystkie, które mają ochotę, ćwiczą.*

Nie ma w naszej grupie takiego reżimu jak u chłopaków. Jeśli uda się wcześniej odrobić lekcje, możemy zwolnić się po południu i iść do miasta, do kina czy na lody. Po kolacji też wychodzimy czasem na spacer. Zimą rzadziej, bo wcześniej ciemno i paskudnie.

Niektóre są w domu dziecka i ponad 10 lat, inne „zaledwie" dwa lata i krócej. Ale żadna z moich rozmówczyń nie chce przyznać, żz istnieje tu coś, co przypominałoby choćby więzy rodzinne. Owszem jest solidarność grupowa, a nic ponadto. Owszem, są tu rodzeństwa, nawet w tej grupie są siostry, ale to wcale nie oznacza, że są sobie bliższe, nawet bardziej się kłócą między sobą, wcale nie chcą też mieszkać razem w jednej sypialni.

W domu dziecka łatwiej niż w jakimkolwiek domu rodzinnym znaleźć pomoc w nauce, bo jak nawet własna wychowawczyni ma trudności z jakimś szkolnym problemem, zawsze znajdzie się ktoś, kto wyjaśni. Tyle że nauki mają po uszy. Jeszcze nienawidzą sprzątania. Obrzydło im mycie ścian na korytarzach ogólnych. Obrzydły dyżury. Jedyne, co im tu odpowiada, to wychowawczynie. Fakt, że można mieć do nich zaufanie, że różne problemy, większe i mniejsze, rozwiązywane są w grupie i poza nią nie wychodzą. Nie tolerują zarozumialstwa, skąpstwa, kablowania. Cenią koleżeństwo.

– *Najbardziej boli nas wypominanie przez dorosłych: macie tak dobrze, inne dzieci nie mają tego, co wy. Ale co z tego, że mamy ciuchy czy też wyjazdy, skoro nie mamy rodzinnego ciepła!* (Ileż to razy z domów rodzinnych słychać narzekania: co z tego, że rodzice nas utrzymują i ubierają, skoro zupełnie ich nie obchodzimy jako ludzie, skoro nasze problemy nie są dla nich ważne. A więc... jak w rodzinie?).

Boli je stosunek do nich rówieśników w szkołach ponadpodstawowych czy na koloniach. Kiedy tylko padnie określenie „dom dziecka", zaraz uważane są za margines społeczny. Co innego w szkole podstawowej, do której dzieci z ich domu chodzą od chwili jego powstania, gdzie już je znają i nikt nie wytrzeszcza na nie oczu.

Wychowawczyni chłopców: *Jakiekolwiek porównywanie naszego domu z domem rodzinnym nie ma zupełnie sensu. Można by jedynie zastanowić się, jakie potrzeby naszych wychowanków możemy zaspokoić i zaspokajamy. Materialne na pewno wszystkie. I to jest nawet szkodliwe. Tego, co mają z domu rodzinnego, pilnują bardzo. Tego co mają stąd, nie szanują. Zginie, zniszczy się... będzie zaraz inne, nowe. Nieważne czy zasłuży się na to, czy nie. Natomiast nie zaspokajamy i nie zaspokoimy potrzeby miłości. Nie ma co się oszukiwać.*

Jeszcze jeden głos. głos czytelnika „ŚM", który napisał w liście do redakcji: *„Spędziłem w tym domu najlepsze lata mojego życia".* Trafiłam tu śladem tego listu.

EWA KOSIŃSKA

Jego Sataniczna Wysokość
MICK JAGGER

Spójrzcie na mnie, niech się przedstawię wam
Cenię sobie szmal i szyk
W każdym z was nieprzerwanie trwam
Kradnę duszę, budzę trwogi krzyk
Teraz właśnie
Poznać chciejcie mnie
Wiem, że zadziwam was
Niepokojącą toczę grę...

Mick Jagger jako jeden z niewielu, obok takich gwiazd XX wieku jak: Chaplin, Garbo, Valentino, Presley – stworzył wokół siebie mit, aurę tajemniczości, wiążącą się z jego przewrotną postacią estradową i z intrygującym, burzliwym życiem uczuciowym.

Zaczynał jak wielu innych wykonawców rockowych. Jak wiadomo, w latach 1963 i 1964 w Wielkiej Brytanii nastąpiła eksplozja na wszelkiego rodzaju grupy młodzieżowe, z których najsłynniejszą stał się zespół The Beatles. Tuż za nimi plasowali się The Rolling Stones („toczące się kamienie", a właściwie – „włóczędzy"). Grupa ta grała inaczej niż Beatlesi. Ich domeną był rhytm and bluess. The Rolling Stones byli lansowani jako przeciwstawienie Beatlesów. W przeciwieństwie do tych ostatnich, występujących zawsze w ładnie skrojonych garniturach, Rolling Stones nigdy nie ubierali się schludnie, byli programowo wyzywający, kreowali się na przedstawicieli gniewnej młodzieży.

Mick Jagger jako wokalista był główną atrakcją występów zespołu. Pisał również słowa wykonywanych przez siebie utworów. Teksty te, podobnie jak teksty piosenek Beatlesów, traktowały o autentycznych problemach młodych ludzi, jednak teksty Jaggera były bardziej osobiste i mniej banalne. Potrafił oddać w nich własne niepokoje.

Piosenki Rolling Stonesów z upływem czasu przestały sięgać wyłącznie do spuścizny amerykańskiej muzyki rhytm and bluessowej czy rockowej. W ich brzmieniu słychać country, ludową balladę angielską (np. piosenka „Lady Jane"). Pojawiły się w ich repertuarze nawet świetnie napisane słodkie przeboje typu estradowego jak „Ruby Tuesday".

Mimo zmian personalnych, grupa The Rolling Stones już od 20 lat znajduje się na szczytach list przebojów i każda nowa płyta zespołu przyjmowana jest przez ich wielbicieli z wielkim zainteresowaniem. Jednak Mick Jagger nie ograniczył się do kariery wokalisty rockowego.

Wystąpił także jako aktor w licznych filmach: **„Ned Kelly"** (tytułowa rola sławnego złoczyńcy) , **„Gimme Shelter"** (dokumentalna relacja z burzliwego koncertu Rolling Stonesów w USA), **„One+One"**. W filmie **„Performance"** Mick Jagger gra znaczącą rolę gwiazdora rocka, który ukrywa w swej rezydencji poszukiwanego przez dawnych wspólników gangstera. Postać odtwarzana przez Jaggera przypomina trochę jego samego. Mick Jagger musiał, niestety, ze względu na stan zdrowia przerwać zdjęcia w dżungli południowoamerykańskiej do filmu Wernera Herzoga pt. **„Fitzgerraldo"**. Zastąpił go świetny aktor Klaus Kinsky. Twierdzi się jednak na podstawie nakręconego materiału, że Jagger przewyższał swego sławnego „dublera" i szkoda, że to nie on zagrał w końcu w tym filmie główną rolę.

Dwa lata temu Mick Jagger poprosił osobiście Hala Ashbego (reżysera głośnego filmu „Harold i Maude" i znanego u nas „Powrotu do domu") – by zechciał sfilmować tournée Rolning Stonesów w USA, w 1981 r. Powstał film, który stanowi godzinę i 40 minut szczęścia dla wielbicieli zespołu.

Jest to relacja z koncertów zespołu w Arizonie i New Jersey. Rolling Stonesi byli filmowani nie tylko na scenie, ale również za jej kulisami. Tak jak każdy koncert Rolling Stonesów – film rozpoczyna się wypuszczeniem balonów w rytmie wykonywanej przez zespół piosenki „Under my thumb" i tak jak każdy koncert – film kończy się euforycznym „Satisfactions".

Mick Jagger wywoływał wiele kontrowersji swym życiem osobistym. Dużo mówiono o jego burzliwych romansach, o jego małżeństwie z nikaragûańską pięknością Biancą, a następnie o ich rozwodzie i o córce Jade, a także o diamencie, który kazał sobie wprawić w ząb, może po to, żeby bardziej błyszczeć na scenie.

Dziś dynamiczny czterdziestolatek jakby się ustatkował. Jego tajemnica poliszynela to 30 km joggingu dziennie.

Wzięło się to może stąd, że jego ojciec był nauczycielem wychowania fizycznego w rodzinnym Datford. Powiada się też, że cechy jego charakteru trudno jest jednoznacznie określić. Nieraz wypominano mu złośliwość zniewieściałość, a nawet tchórzostwo. Wiele w stawianych mu zarzutach jest sprzeczności. Niewątpliwie jest osobowością złożoną. Najbardziej przekonująca z opinii pochodzi od wieloletniego przyjaciela Jaggera, pisarza i autora filmów Donalda Commella:

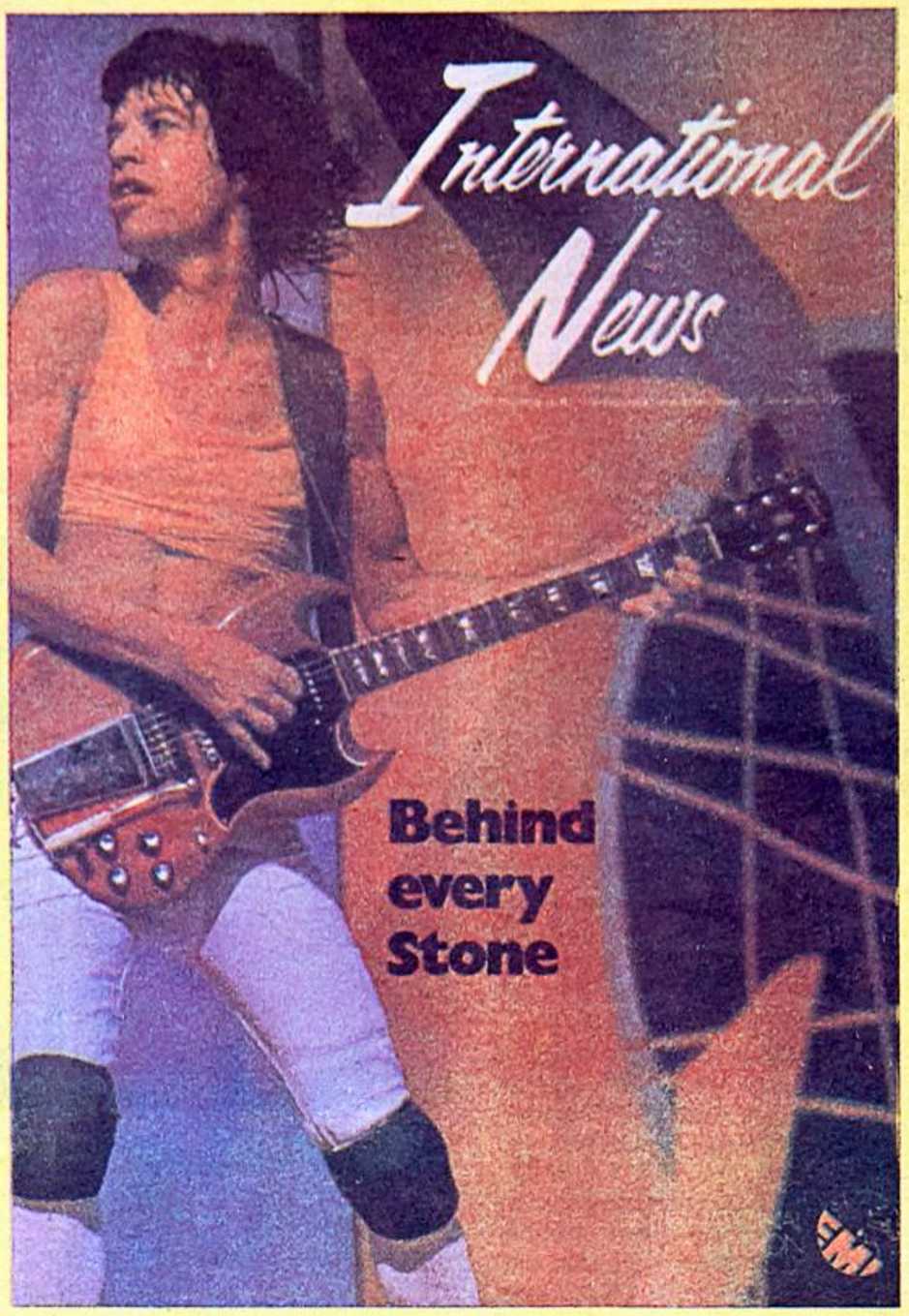

Jedno z ostatnich, nielicznych zdjęć Micka Jaggera z... gitarą, które znalazło się na okładce czasopisma muzycznego „International News"

„Jest to człowiek, który potrafi stać się niczym, niezapisaną kartką, w taki sam sposób, jak wielu dobrych artystów i jak najlepsi aktorzy. Tkwi w nim pewien rodzaj pustki, brak ukierunkowania. Jest to myślenie, jakby lustrzane, połączone z życiem w zbyt wielu światach." Zaś sataniczny Mick Jagger dodaje:

Więc, gdy mnie spotkasz, grzecznym bądź na wskroś
Wyuczony racz trzymać styl
Wiedząc, że jeśli wpadnę w złość
Duszę ci zetrę w proch i pył.

Oprac. **ALICJA MENEL**
fragm. tekstu Micka Jaggera „Sympathy for the Weril" (Sympatia dla diabła)

GWIAZDOZBIÓR

W GWIAZDKI I W JELONKI

Starałam się stopniować trudność wykonawczą ciuchów prezentowanych w tegorocznym serialu włóczkowym. Były i szaliki – coś szalenie prostego, co naprawdę każdy zrobić sam potrafi, a dzisiaj są wzory norweskie – coś cudownego, ale tak trudnego w robocie, że... No nie wiem, ja na przykład tylko na to patrzę i wręcz wyobrazić sobie nie potrafię, że mogłabym to wydziergać. Ale oczywiście są takie mistrzynie, dla których kombinacja gwiazdek i jelonków to przysłowiowa „mięta" i są w stanie machnąć taki sweterek w norweski wzór przez parę zimowych wieczorów. Więc jeśli któraś z Was jest taką mistrzynią drutów – to niech się ani sekundy nie zastanawia, norweskie gwiazdki i jelonki to autentyczny przebój. A jeśli sama nie potrafi, ale ma w rodzinie kogoś kto by potrafił (mama, babcia, ciocia...), to też warto koło człowieka się pokręcić i poprzymilać, ewentualnie w czymś innym wyręczyć – żeby zrobił.

Klasyka norweska to obszerny pulower zakładany przez głowę z wszytym niżej rękawem. Dwukolorowy, tj. jakiś ciemnobiały. Biały wzór na ciemnym tle przeplata się z pasmem odwrotnym – ciemny wzór na białym tle. A wzory to właśnie gwiazdki przeróżne (śniegowe, rzecz jasna!) i jelonki. Z imponującymi rogami, a jakże. A właściwie nie jelonki, a renifery. No, ale nie bądźmy zbyt dosłowni. Zwłaszcza, że i w sweterkach typu norweskiego dosłowności też coraz jest mniej.

Fasony się zmieniają, kolorów przybywa, z jelonków się rezygnuje (i nic dziwnego, o niebo łatwiej jest wydziergać gwiazdkę niż reniferka z powykrzywianymi rogami)... Ba, to już nawet nie swetry są, ale kamizelki jakieś, wdzianka, czapeczki... Czyli – coś mniejszego też być może. Więc jeśli z jakichś względów cały sweter w grę nie wchodzi – niech będzie choćby jakiś drobiazg! Też modny jest szalenie.

Więc postarać się warto. I poprzepytywać wśród bliższej i dalszej rodziny, kto ewentualnie by potrafił...

RIUSZKA

DOM MODY świata młodych

Ropucha ratuje serce

ZSRR (PAP). W przypadku ustania akcji serca, można je pobudzać przy pomocy prądu lub adrenaliny. Środki te powodują jednak szkodliwe następstwa. Zanim serce osiągnie normalny rytm uderzeń, przedsionki i komory pracują nierówno. Pod wpływem obu środków może również nastąpić pęknięcie drobnych naczyń, co powoduje „obumieranie" kawałeczków serca. Lekarze radzieccy odkryli, że całkowicie bezpiecznym, a zarazem skutecznym rozrusznikiem serca może być natomiast wyciąg z jadu ropuchy zielonej. Doświadczenia przeprowadzone na zwierzętach wykazały, że żabi jad nie tylko nie wywołuje arytmii, lecz że jest skuteczny nawet w przypadku dłuższych przerw w pracy serca. Przewiduje się, że już w niedalekiej przyszłości nowy preparat będzie szeroko stosowany w reanimacji ludzi. **(jo)**

A to ciekawe!

Ceramiczne kości

(PAP). Zespół uczonych z Akademii Nauk NRD opracował tworzywo ceramiczne zastępujące z powodzeniem ludzką kość.

Szczególnie wartościowe jest to, że nowe tworzywo może uzupełniać ubytki powstałe po ropniach. Ponadto po wszczepieniu nie wywołuje ono odrzutów, łącząc się trwale z tkanką kostną. **(kl)**

KROPLE DLA CHRAPIĄCYCH

FRANCJA (PAI). We Francji znalazły się w sprzedaży krople powstrzymujące chrapanie. Przed snem należy je zakroplić do nosa, dzięki czemu błony śluzowe nosa i gardła zostaną dostatecznie nawilżone. W większości przypadków chrapanie jest bowiem wynikiem nadmiernego wysuszenia śluzówki. **(jo)**

CIĄGNIK NA WODÓR

(PAP). W leningradzkim Instytucie Politechnicznym ukończono próby silnika nowego modelu ciągnika „Kirowiec" pracującego na paliwie, do którego dodano wodór. Silnik oszczędza 20 proc. paliwa, a ponadto wydziela znikome ilości substancji trujących. **(kl)**

Telewizyjny strażak

ZSRR (PAI). Przy pomocy specjalnego urządzenia telewizyjnego zamontowanego na pokładzie samolotu można wykryć ogniska pożarów w złożach torfu, w promieniu 50 km. Urządzenie opracowane przez Leningradzki Instytut Elektrotechniki ma służyć ochronie rezerwatów i parków przyrody. **(jo)**

GALAKTYKI – WIELKIE WYSPY WSZECHŚWIATA

Gwiazdy, planety i inne towarzyszące gwiazdom ciała, zgrupowania gwiazd zwane gromadami, mgławice i rozproszona materia międzygwiazdowa, są to podstawowe, znane obecnie obiekty, w postaci których występuje we wszechświecie materia. Wszystkie wymienione rodzaje obiektów skupiają się razem w obiekty wyższego rzędu tzw. galaktyki. Zapoznamy się teraz bliżej z budową Galaktyki, do której należy nasz Układ Planetarny, a którą w odróżnieniu od innych piszemy z dużej litery, gdyż nazwa Galaktyka występuje tu jako imię własne. Galaktyka jest skupiskiem gwiazd i materii międzygwiezdnej o średnicy około 800 tys. bilionów km. Promień światła przebiega drogę z jednego krańca Galaktyki w drugi w czasie dłuższym niż osiemdziesiąt kilka tysięcy lat. Większość obiektów w Galaktyce wykazuje tendencję do zgęszczenia się w pobliżu pewnej płaszczyzny, noszącej nazwę płaszczyzny równikowej Galaktyki.

Nasze Słońce leży również w pobliżu tej płaszczyzny. Gdy patrzymy z okolic Słońca na niebo, najwięcej obiektów widzimy w kierunkach do niej prostopadłych. Płaszczyzna równikowa w rzucie na sferę niebieską daje koło zwane równikiem galaktycznym. Wzdłuż niego rozciąga się pas największego zagęszczenia obiektów niebieskich, który nazywamy Drogą Mleczną. Można powiedzieć, że Droga Mleczna to Galaktyka obserwowana od środka. W Drodze Mlecznej widzimy na sferze niebieskiej nie tylko dużo gwiazd, ale również wiele mgławic, które zasłaniają pole widzenia, nie pozwalają dojrzeć tych części Galaktyki, które się za nimi znajdują. Utrudnia to znacznie badanie budowy Galaktyki, choć ostatnio udało się dokonać pewnych obserwacji w dziedzinie fal radiowych, poprzez ciemne mgławice aż do krańców Galaktyki. Otóż ustalono, że w płaszczyźnie równikowej istnieją zagęszczenia gwiazd i mgławic tworzące tzw. ramiona spiralne, które otaczają część środkową Galaktyki – jądro. Do dziś jednak nie wiemy dokładnie, ile ramion spiralnych ma Galaktyka. Przeważa pogląd, że jest ich dwa lub trzy. Również budowa jądra Galaktyki nie została dokładniej poznana. Przypuszcza się, że jest to ogromne skupisko gwiazd o średnicy ponad 10^{16} km (promień świetlny przebywa taką odległość w ciągu paru tysięcy lat). Liczbę gwiazd składających się na jądro Galaktyki ocenia się na dziesiątki lub setki miliardów. Skupia ono w sobie większą część masy całej Galaktyki. Tylko znikomą część tej masy stanowią gwiazdy i gromady gwiazdowe leżące z dala od jądra i płaszczyzny równikowej.

Istnieją różne typy galaktyk, np. podobne do naszej tzw. spiralne. Jedną z nich jest tzw. Wielka Galaktyka w Andromedzie oddalona od nas o około 10 trylionów km. Gołym okiem przedstawia się ona zaledwie jako nieco rozmyty punkcik świetlny. Patrząc na nią możemy sobie wyobrazić, jak wygląda mniej więcej nasza Galaktyka oglądana z zewnątrz. Typ galaktyk spiralnych nie jest może najpopularniejszy, choć z pewnością najbardziej fotogeniczny. Równie liczne są galaktyki eliptyczne, które nie mają żadnej struktury spiralnej, lecz są równie lub bardziej symetryczne.

Spiralna galaktyka NGC 1300 w gwiazdozbiorze Eridona. Czy nasza Galaktyka też tak wygląda z zewnątrz?

Obserwujemy galaktyki giganty, znacznie większe od naszej i galaktyki karły, znacznie od naszej mniejsze. Niektóre z gigantów mają szczególnie jasne jądra, w których następują potężne wybuchy. Rozmiary takiego jądra mogą być niewiele większe od naszego Układu Planetarnego, ale jego jasność może przekraczać stokrotnie jasność całej gigantycznej galaktyki złożonej z bilionów gwiazd. Najjaśniejsze obiekty tego typu nazywano kwazarami.

Kwazary spotykamy we wszechświecie bardzo rzadko. Typowe odległości między nimi wynoszą ok. mld lat świetlnych. Najdalszy ze znanych obecnie oddalony jest od nas o 20 miliardów lat świetlnych. Jest to najdalszy obiekt znany współczesnej astronomii, odkryty 30 marca 1982 r. przez australijski zespół naukowców. Otrzymał on symbol PKS 2000-330. Na tak ogromnych odległościach galaktyki są niedostrzegalne przez współczesne teleskopy. Sądzimy jednak, że nawet te najdalsze kwazary, podobnie jak i bliskie, są jądrami gigantycznych galaktyk. Gdy najdalszy kwazar rozbłysnął w jądrze niewidocznej galaktyki, nie było jeszcze ani Ziemi, ani Słońca. Promienie z owego kwazaru pędziły w przestrzeń we wszystkich kierunkach, również i w naszym, przez kilka mld lat, nim ze zgęszczenia jednego z gazowych obłoków naszej Galaktyki powstało Słońce wraz z Układem Planetarnym. Gdy światło tego odległego kwazaru pokonało już 99 procent odległości do nas, wówczas na Ziemi zapanowały dinozaury. Najprawdopodobniej najdalsze obserwowane obecnie kwazary wygasły już dawno temu, przed mld lat, lecz wysłane przez nie promieniowanie pędzi nadal we wszechświecie we wszystkich kierunkach.

Tylko bardzo nieliczne galaktyki mają jądra, które rozbłyskują jako kwazary, natomiast większość ich wchodzi w skład większych lub mniejszych gromad galaktyk. Wielkie gromady mogą składać się z dziesiątków tysięcy galaktyk i mogą mieć średnicę ponad 10 mln lat świetlnych. Typowe wzajemne odległości wielkich gromad wynoszą około 200 mln lat świetlnych. Najbliższa wielka gromada znajduje się w gwiazdozbiorze Panny. Jeszcze większa, lecz dalsza, leży w gwiazdozbiorze Perseusza.

Współczesne katalogi podają położenie kilku tysięcy takich gromad. Składają się one nie tylko z galaktyk. Wypełnia je bardzo rozrzedzony, lecz bardzo gorący gaz, o temperaturze prawie 100 mln stopni. Gaz ten świeci silnie w zakresie promieni Roentgena. Odległości pomiędzy galaktykami wynoszą tryliony kilometrów, są więc o jeden rząd wielkości większe niż rozmiary samych galaktyk. Z pewnością kiedyś w przyszłości polecimy poza naszą Galaktykę, aby dokładniej zbadać pozostałe, lecz najpierw musimy poznać własne podwórko.

Mariusz Kołłątaj

O niezmierzonym wszechświecie, o jego „mieszkańcach" – galaktykach, mgławicach, kwazarach i o naszej Galaktyce pisanej dużą literą informuje dziś Mariusz Kołłątaj. Ciekawe. Natomiast Jacek Myszka zastanawia się nad pochodzeniem tektytów, tajemniczych szklistych kulek.

Uwaga, Mariusz Iwański z Piły! Oczywiście, jestem zainteresowany zdjęciem elektronicznego obrazu ludzkiej twarzy z powierzchni Marsa. Proszę więc o nie, a także o własny komentarz do sprawy poruszonej już na łamach TOMIKA przez Jarosława Renka w korespondencji pt. „Milczące oblicze Marsa".

PREZES

Zagadka szklistych kulek

Wciąż w wielu miejscach na Ziemi znajduje się skalne bryłki niewiadomego pochodzenia zwane „tektytami" (po grecku „tektos-stopiony"). Tak, właśnie stopiony. Te szkliste okruchy ważące zazwyczaj od 5 do 10 g składają się głównie z dwutlenku krzemu (od 0 do 80%) i tlenku glinu (od 11 do 15%). Oprócz tego zawierają one mikroskopijne cząstki żelazo-niklu i szkliwa krzemionkowego, śladowe ilości wody (poniżej 0,05%), a także niewielkie ilości manganu, tytanu, baru, chromu, potasu, sodu oraz innych pierwiastków. Co najciekawsze, znaleziska tektytów ściśle wiążą się z określonymi terenami na naszym globie. Również od poszczególnych rejonów pochodzą ich nazwy: Australity, Bediasity, Filipinity, Georgianity, Indochinity, Jawaity, Mołdawity itd. Przypuszcza się, że wszystkie one stanowiły niegdyś w przeszłości masę plastyczną, a nawet płynną. Natomiast cząstki szkliwa krzemionkowego są dowodem, że ich temperatura musiała wynosić około 1700°C! Do tej pory nikt, niestety, nie potrafił określić na pewno, skąd one pochodzą. Ponieważ każda nie rozwiązana zagadka naszych czasów pociąga za sobą powstanie mniej lub bardziej fantastycznych hipotez, powstały one i w tym przypadku. Najszerzej znana jest hipoteza mówiąca o tym, że są to pewnego rodzaju meteoryty. Istnieją też argumenty, które przemawiałyby za tym założeniem. Należy do nich między innymi kształt tektytów. Jest on właśnie taki, jaki przybrałaby kropla roztopionej szklanej masy pod naporem prądu powietrza, który musiałby powstać pod wpływem domniemanego spadku „meteorytów". Dalej jednak napotykamy na niejasności: skąd się wzięły te „krople" w przestrzeni kosmicznej i dlaczego ich występowanie jest tak ściśle związane z pewnymi obszarami. W tym miejscu niektórzy tłumaczą, że to pewna część materii ziemskiej około 200 mln lat temu oderwała się tworząc Księżyc (wydarzenie to wiążą oni z powstaniem Oceanu Spokojnego). Wtedy to pewna część materii nie weszła w skład „nowego globu" obiegając Ziemię w roli samodzielnego satelity. Po pewnym czasie spadła na nią pod wpływem wcześniejszego zbytniego zbliżenia się do naszej atmosfery. Niestety, jest to tylko jedna z hipotez. Dzisiejszemu światu nie wystarczają jednak tylko hipotezy, dlatego czekajmy, badajmy, dociekajmy. Z biegiem czasu może i ta, jedna z setek zagadek spędzających sen z oczu naukowcom zostanie rozwiązana.

Jacek Myszka

Po lunchu, jak gdyby nic ważnego się nie zdarzyło, wszyscy zaszyli się w swoich pracowniach, chociaż tylko Auboyer może mieć bodziec do prowadzenia badań; dla pozostałych jest to właściwie powtarzanie doświadczeń, które już inni wykonywali przed nimi nie osiągając żadnego rezultatu.

Ale Marcel promienieje, naprawdę. Drugi dzień podwodne roboty prowadzą prace w odkrytym przez płetwonurków mieście, filmując, wydobywając coraz to nowe znaleziska, archeolodzy prawie nie wychodzą ze swojej pracowni, nie odrywają się od ekranów. Marcel pokazał się tylko raz, na obiedzie; siedział przy mnie, toteż musiałem wysłuchać – chyba już po raz trzeci – całej jego teorii. Wciąż ma nadzieję, że tajemnicę „Trójkąta" wyjaśni działalność podwodnej cywilizacji – ludzi, którzy po zatopieniu ich kontynentu przystosowali się do życia na dnie oceanu w zbudowanych zawczasu, gigantycznych schronach. Uważa, że powtarzalność okoliczności towarzyszących wypadkom zaginięć wskazuje na jakiś zamysł. Myśl, kierującą siłami, wskutek działania których wypadki te się zdarzają. Mógłbym przytoczyć mu kilkadziesiąt przykładów takiej powtarzalności w działaniu sił natury: przecinające się wiązki światła zawsze przenikają się wzajemnie nie oddziałując ze sobą, pęd zamkniętego układu ciał jest zawsze wielkością stałą niezależną od procesów zachodzących w tym układzie, ciało pływa po powierzchni cieczy lub wewnątrz cieczy, gdy jego ciężar jest równy działającej na nie sile wyporu – i tak dalej. Także znikanie samolotów i statków w podobnych okolicznościach mogą wyjaśniać prawa związane z działaniem siły całkowicie sprawdzalnej i wymiernej, tyle że my wciąż jeszcze nie potrafimy odkryć jej ani zmierzyć, siły podlegającej rządzącym nią regułom, a nie kierującemu nią Zamysłowi. Chociaż... tego także nie możemy wykluczyć.

Od chwili gdy byłem świadkiem rozwiewania się w powietrzu „Armstronga" zastanawiam się, czy nie jest to po prostu jakiś rodzaj energii, dotychczas nie poznanej. Energii zdolnej do rozerwania sił spójności cząsteczek w ciałach stałych, bez występowania jakichkolwiek zjawisk mogących – z punktu widzenia naszej dotychczasowej wiedzy – efekt taki wyjaśnić, a jednocześnie oddziałującej na mózg, psychikę człowieka w sposób rozwijający jakieś ich właściwości, o których też nic nie wiemy. By jednak móc ją, chociażby w przybliżeniu, określić, musiałbym mieć o wiele więcej danych niż te, jakimi w tej chwili dysponuję.

Próbowałem, co prawda. Całe popołudnie przesiedziałem w pracowni, starając się dojść do jakichś, choćby najbardziej fantastycznych wniosków, ale było to poruszanie się w próżni, poszukiwanie igły w Galaktyce; nawet komputer traktował mnie jak idiotę, wyrzucając sygnał „brak danych" przy każdej próbie ułożenia programu poszukiwań.

Pogląd, że wypadki w „Trójkącie" należy przypisywać okresowemu działaniu nieznanej nam energii, lub wyzyskaniu nieodkrytych przez ludzkość właściwości energii już znanych, na przykład magnetyzmu, podziela także Irving; dziś znów rozpoczął dyskusję na ten temat. Tyle że – jego zdaniem – energią tą posługują się Istoty Kosmiczne. Nie wiem... Czasami sam dość bliski byłem takiego przekonania; ta przedziwna i potężna Obecność, którą w pewnych momentach odczuwa człowiek poddany owym siłom... Wydaje mi się jednak, że jest to znacznie bardziej skomplikowane niż chciałby Irving – jeśli to byłby Kontakt, to zupełnie odmienny od naszych wyobrażeń, nie mający nic wspólnego z Kosmitami na latających talerzach. Dlatego czasem złości mnie Irving z tą swoją pewnością siebie, zresztą Auboyer także. Ci dwaj podchodzą w ten sposób do problemu, by mieć od razu połowę zmartwień „z głowy": wystarczy odnaleźć na dnie morza ukrytą tam cywilizację, albo nawiązać Kontakt z innym Rozumem w Kosmosie, aby już resztę zjawisk można było wyjaśnić. Bo przecież owe istoty – podmorskie, czy kosmiczne, w tym przypadku to już jest bez znaczenia – nawiązania dialogu z niepojmującą ludzkością na pewno nie odmówią, a wówczas zrozumiemy, jakie działania spowodowały wszystkie niepojęte i tragiczne wypadki – tak, jak Bracia w Rozumie pojmą, że ich działalność odbywa się z krzywdą istot zamieszkujących powierzchnię Ziemi.

Nie, tak nie wolno. To świństwo z mojej strony. Wszyscy poszukują, miotając się w ciemności. Być może właśnie któryś z tych dwóch ma rację, a ja niepotrzebnie komplikuję sprawę, i tak dość skomplikowaną, jak gdyby wybieranie najtrudniejszej drogi gwarantowało, że będzie to droga właściwa. Poza tym – drwiny z teorii przyjmowanych przez innych... No, dobrze, Gordon. Próby słownej ekspiacji są tak samo bez sensu jak bezpodstawne szyderstwa. Na dzisiaj dosyć – nie jesteś w specjalnie dobrej formie, stary.

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA:

PIÓRO contra FLAMASTER

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PAWEŁ

8

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się we
WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61.
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)

TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Inna Bójska

Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 4978/G. M-70

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

NA LEKCJI wychowania fizycznego uczniowie leżą na plecach z nogami do góry i energicznie poruszają nimi naśladując jazdę na rowerze. Jedynie Kowalski trzyma spokojnie wyciągnięte nogi.

– Dlaczego się lenisz? – pyta nauczyciel. – Dlaczego nie kręcisz nogami?

– Bo ja w tej chwili zjeżdżam z górki...

*

– JAK DŁUGO potrafisz przebywać pod wodą?

– To zależy, kiedy mnie wyratują...

Miałem dosyć – „Trójkąta" i wszystkiego. Chciałem wrócić do równowagi, zapomnieć, resztę swojego życia przeżyć jak zwykły człowiek; to chyba minimum tego, do czego każdy ma prawo, czego nikomu nie wolno odmówić. Zamierzałem zrezygnować z badań, podać się do dymisji. Właśnie wtedy poznałem Kris. Ten pierwszy okres musiał być dla niej koszmarem i nigdy nie zrozumiem, dlaczego... Ale została i to, że znowu mogłem stać się normalnym człowiekiem zawdzięczam tylko jej. Więcej, jeżeli człowiek, który przeszedł przez piekło „Diabelskiego Trójkąta", znalazł się na granicy obłędu, poznał to, co w naturze ludzkiej, jego własnej, najbardziej przerażające, najgłębiej ukryte – a ujawnione staje się nie do zniesienia – może w ogóle być jeszcze kiedyś szczęśliwy, to ja nim byłem.

Te pięć lat – od siedemdziesiątego czwartego, do dziewiątego – wypełniła mi praca w Międzynarodowym Instytucie Oceanografii i Kris. Zaczynałem liczyć się wśród bermudologów; tylko ja wiedziałem, jak niewiele znaczą te moje prace, że są zaledwie niezdarnym pełzaniem po orbicie problemu, gdy on sam nadal pozostaje nietknięty. Mimo to zaproponowano mi udział w mającej wyruszyć w 2079 roku ekspedycji „Delphina". Miałem być Głównym Fizykiem. Odmówiłem.

Zamiast mnie wzięła w niej udział Kris. Chciała – tyle przynajmniej zdołałem potem zrozumieć – swoją obecnością usprawiedliwić mnie jakby, osłonić; miała nadzieję, że komentarze brzmieć będą: „odstąpił jej stanowisko" – nie: „stchórzył".

„Delphin" zaginął. Nie uratował się nikt.

A teraz, w pięć lat później, zgodziłem się wziąć udział w ekspedycji, którą kieruje Kew. Może dlatego, że wówczas nie znalazłem w sobie nawet tyle odwagi, żeby popłynąć z nią razem, pomimo wszystko, i zginąć razem, skoro nie potrafiłem skłonić jej do zmiany raz podjętej decyzji. Może gdzieś w mojej podświadomości, tkwi bezsensowna nadzieja, której zaprzeczają wszystkie znane mi fakty, że można przeciwstawić się sile, która zabiła Kris, że jednak, kiedyś, zdołamy ją pokonać i uczynić niegroźną. I że to będzie moja – ludzkości – zemsta. Dziecinne? Tak, oczywiście. Ale człowiek nie zawsze w swoim postępowaniu powoduje się rozsądkiem i logiką.

No tak. To chyba byłoby wszystko. W jakiejś wolnej chwili będę musiał przejrzeć tę taśmę, usunąć z niej to, co nikogo, poza mną samym, nie może interesować. Chyba chwilami ponosiło mnie trochę.

Zostawię tylko fakty – dobrze, że pamiętam ich tyle. Po śmierci Kris, kiedy szukałem dla siebie odpowiedzi, z bezrozumnym uporem starając się w przebiegu najnowszych i zeszłorocznych wydarzeń wytropić coś co przegapili inni, coś co pomoże mi odnaleźć jakąś nitkę, po której... da bodaj cień szansy na zrozumienie sensu rozgrywających się w „Trójkącie" wydarzeń, najmniej trzydzieści razy przesłuchiwałem taśmy rejestratorów; do dziś potrafię cytować z pamięci całe fragmenty zapisów. Być może to się przyda.

29 czerwca 2084 r.

Postanowiono kontynuować badania, nie odstępując od założonego programu. Na zebraniu ogólnym, w którym udział brali nie tylko naukowcy lecz i członkowie załogi – od van Vincenta po wszystkich marynarzy – decyzja taka została podjęta jednogłośnie, ani jedna osoba nie głosowała za powrotem. Kiedy pomyślę, że jeszcze nie tak dawno kpiłem z niektórych z nich, że drażniły mnie śmiesznostki Irvinga czy Calverta, ich naiwna wiara w reprezentowane dyscypliny naukowe, z pomocą których bez trudu zdołają rozwikłać zagadkę od stu lat nierozwiązywalną – jest mi po prostu wstyd.

Dokończenie na str. 7